

TYGODNIK ILLUSTROWANY



SUŁTAN ABDUL-AZIS
Z Salonu „Lux” w Krakowie

ST. CHLEBOWSKI

SZTUKA I ŻYCIE.

...Że źle nam jest, czujemy wszyscy; że, niby kolcami najeżony pas męczenników, wciska się w nas to życie dokoła, że tyle usiłowań dławi się codziennie w atmosferze ogółu, a najlepsi z czasem wchodzą w skorupę wnętrza swego, jeszcze tylko w jego świetle ciepło znajdując i dech swobodny... „Zaśmiał się szatan: Nędza jest wszędzie“...

A nam się dusze prężą w wielkiem utęsknieniu Piękna, a nam się ręce wyciągają, jak owym dzieciom, które gonią za ptakiem, i, jak im, wnet opadają, w rozwianiu się szczęśnych złudzeń... A nam się marzą cudowności czasów, które, jak ogromne, zielone, słonecznymi jaskrami lśniące łąki, rozścielą się po ludzkości od skraja do skraja... A nam się jawią we snach promieniści ludzie, tęczami radości i bólu opancerzeni, mocą boskich ramion niosący kwiaty i głazy tego życia...

Gdzież tedy schronienie dać tym dzieciom pragnień naszych? Czyli je skazać zatrutym tchem tej atmosfery, w której i myśmy się nadłamali, rzucić na gryzące mrowisko „rzeczywistości“...

Szczęściem, pozostał jeszcze przybytek nienaruszony, sanktuarium natchnienia, i tam na ołtarzu Najświętszego niechaj się składają niepokalanie zrodzone owoce żywota naszego...

I mamy sztukę.

Jako wota dziękczynne, zawieszamy utrwalone rozwarcie ramion naszych ku Boskości. A życie idzie sobie, skulone, szare, byle płachtą przykrywające sromotę nagości swojej. I mamy sztukę, patrzymy w przeczyste oblicze jej, trawią nam się oczy, fale wzruszenia zalewają nam duszę, i... i potem silniej jeszcze czujemy, jak źle, jak bardzo nam źle jest...

Gdyby można tam zostać, w świątyni, i nie wracać na te mozolne, rozległe niziny życia!... Ale to niemożliwe. Więc powracamy. I jedni chowamy głęboko w sobie to, cośmy tam ujrzeli, przenosząc je z chwili na chwilę ostrożnie, lękliwie, jak kapłan przenosi czarę oleju świętego, żeby z niej ani kropli na niepoświęconą nie uronić ziemię. A drudzy, przecierając się przez życie, tracimy z wolna wszystko, nawet zdolność, by ujrzeć ponownie, nawet tęsknotę... A jedni i drudzy rezygnujemy z czasem: niech życie swoją drogą, a sztuka swoją... Czerpiemy natchnienie nie na to, żeby niem, jako krwią świeżą, trysnąć wokół siebie, a jeno dla pokrzepienia, dla ochłody. I słabsi z czasem tem się zadowolą: „trudno, kiedy nie można inaczej“...

Tak niegdyś Święci Pańscy czuli boleśnie rozłam między tem, co widzieli w ekstazie, a co dokoła siebie, na świecie. A nie mając sił na przetworzenie rzeczywistości, modlili się jeno o śmierć w chwili błogości niebiańskiej.

Tak się w nas dzisiaj poruszy i lekkim powiewem trąci o niebo westchnienie: „Tam gwiazdy i słońce, a ja tu“, jak u wielkiego liryka rosyjskiego.

Tak w rozbolełej duszy samotniczej drwiący się głos wysłucha: „Ty miłośnikiem prawdy? Trefniś jeno, jeno poeta!“...

Na tle tego rozłamu wikłały się zawsze najgłębsze tragedye najgłębszych dusz. W przeszłości naszej był cały okres, kiedy ta tragedia najsilniej się rozgrywała i najbardziej do rozwiązania śpieszyła.

Był to okres poezji romantycznej i mesyanicznej—znowu dowód, jak ta epoka bujna była w zagadnienia, które wiekuiście istnieją dla ducha.

Ale rozwiązanie było za jednostronne: „modlitwa o świętość“, tak można słowami Bohdana Jańskiego określić drogę, po której szły owych ludzi usiłowania. Nawet potężne hasło Mickiewicza: „natchnienie musi być czynem—czyn natchnieniem“, zyskuje w związku z życiem samego twórcy oświetlenie jednostronne, i czujemy i w niem jeszcze nie wypełnione dusz naszych widzenia. Bośmy zanadto pełni miłości dla tęczowych bezmiarów Piękna, zbyt już nierozzerwalnie spojeni z samą duszą Sztuki, abyśmy ją rzucić mogli dla tworzenia tylko życia. I jeszcze powiem inaczej: zbyt głęboko czujemy, że w takim poniechaniu jednego z tych dwojga i drugi się traci, jak kwiat w tantalowych mękach usycha, patrząc na źródle ożywcze po drugiej stronie otchłani.

Wszelkie bowiem rozdwojenie jest wbrew istocie bytu, który jest cały w jedności: tak duch i ciało slaniają się ku sobie w utęsknieniu wielkiem, a męka ich rozdalenia tem większa, im głębiej opęta jednostkę czy ludzkość w pewnej epoce rozwoju; tak natchnienie piękna i codzienność życia wytężają się wzajem ku sobie w poczuciu przedwiecznej jedności swojej i w żądzy ostatecznego cudu dwoj-jedni. A w tem rozdwojeniu i w tej przeciwko niemu walce jest treść i tragedia miłości, która dwoje kochanków rzuca na siebie w daremnem pożądaniu stopienia się w jedno... Ze wszystkich twórców poezji mesyanicznej jeden Słowacki czuł pełnie i objął w sobie tę jedność, której bezkarnie nie wolno rozłamać. On był na tle owej epoki tem, czem w średniowiecznej, twardej ascezie słoneczny śpiewak z Assyżu. Krasinśki tylko westchnął: „przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością“, westchnął, jak człowiek, który najboleśniej czuł w sobie sprzeczność życia i sztuki, a był wobec niej bezsilnym. Słowacki strumienia poezji nie zasypał żwirem wzgardy, ale od niego powiódł wody na wszystkie niwy życia swego i stanął w ognjach przeczucia wiecznej syntezy.

Jest wiele usiłowań, zmierzających do t. zw. uszlachetnienia człowieka. Są przede wszystkim dążności „uetycznienia“ jednostki społecznej, odsunięcia jej od złych nałogów i t. p. I czem to jest wszystko w stosunku do owego potężnego rozłamu życia i sztuki?... Odpowiem przypowieścią:

Do pewnego, z dawna opuszczonego zamku miała przybyć Jasna-Królewna i za-

mieszkać w nim na jakiś czas. Tedy zbiegła się zewsząd służba i gorliwie ją szorować podłogi i myć okna, aby puścić światło do ponurych izb zamku. Ale okna już były czyste, a światło nie wchodziło i izby pozostawały w mroku. Aż zjawiała się Królewna-Jasna i weszła do pierwszej izby, a za nią wraz i światło rozeszło się po izbie, i weszła do wtórej i do dalszych, i wszędzie światło za nią chodziło, i tak już zostało po wszystkich izbach, póki królewna przemieszkowała na zamku. A ludzie, którzy czyścili okna, dziwili się i nie rozumieli, ale nie śmieli zapytać...

Otóż ci, którzy szorują podłogi i okna czyszczą, robią pożyteczną usługę, ale Dusza, która tworzy piękno, jest Królewną-Jasną, i za nią tylko chodzi posłusznie światło...

Podnieść życie na wysokość Piękna swego, objąć ramieniem artyzmu wszystkie zjawy myśli i uczucia, to może być podjęte tylko przez człowieka, który doszedł w sobie do jasnowidzenia Jedności. Taki człowiek musi w głębi swojej stanąć aż tam, gdzie nikną wszelkie rozdziały: między powszechnością a jednostką, duszą a bóstwem, człowiekiem a naturą. W takim człowieku musi dojść aż do najwyższego napięcia męka rozdwojeń, w nim samym spełnić się tęsknota ku sobie rozdalonych żywiołów. Tak tworzy artysta-człowiek w chwili zbudzenia się w nim promienia boskości, a oto tylko zatrzymać ten promień i żarem jego przeświecić codzienność życia!...

Ale boskość jest wolna: bez praw i prawideł, bez wskazań i zakazów. I takim jest w istocie artyzm, i takim musi być w istocie życie. Były czasy, kiedy się coś musiało poświęcić, aby zachować resztę. Teraz wyznajemy, że w *Jedności* tylko tkwi zniszczenie rozłamu, a tedy nie będzie nic z człowieka, coby należało usunąć poza szranki życia.

Są słowa, które się wypowiada, a które nie obowiązują: bo są, jako brzęknięcie liry, gasnące w oddalch powietrza. Ale kto powie: *Jedność Sztuki i Życia*, ten sobie oręż przypasał do boku, i na krótkie tylko chwile wolno mu go zawiesić na ścianie.

Tu jest powiązanie owych (jak wielu orzeknie) „górných“ lotów z dzisiejszem życiem w sobie i dokoła siebie. Jeśli istotą owej najwyższej jedności jest wolność, to niema takich pęt, takich kajdanków, któreby cierpieć należało. I gdyby nawet dźwięk miały złotych łańcuszków... Jeśli wolność, to niema takiej sfery życia jednostkowego, czy ogólnego, gdzieby niewola nie była tamą dla zajaśnienia w życiu pragnień naszych i widzeń!... Jakże się oszukują ci, którzy sądzą, że można dać sobie skuć ręce i nogi, byle dusza była wolna... To są znowu niewolnicy rozdwojenia i szerzyciele nowych fałszów starego balwana!... Z górnych pożądań, z niebiańskich objęć znosi się z sobą konieczność, której jedno jest imię, a to imię: *walka*.

ANDRZEJ BAUMFELD.



SUŁTAN ABDUL-AZIS
PODZAS REWII KOZAKÓW OTOMAŃSKICH

ST. CHLEBOWSKI

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

34)

XI.

I pojechali. Dębowski do Żelaznych Hut a potem do miasta X.; obaj Linowscy do Grudy, nad granicę galicyjską. W Leśniczówce została pani Linowska, Jadwiga i Świrski, który od chwili, gdy sanki z podróznymi znikły na zakręcie leśnej drogi, miał takie wrażenie, jakby mu ziemia usunęła się z pod stóp.

— Niechże pan gospodaruje, jak u siebie—odezwała się Linowska. — W pokoju męża znajdzie pan trochę książek... nic osobliwego!... A u mnie, przy drzwiach, klucze od spiżarni... Władek jest zawsze głodny... powietrze leśne wywołuje apetyt...

Mówiąc, uśmiechała się z wielką życzliwością; ale Świrski odczuł zmianę w jej głosie i dostrzegł, że śniada twarz podłesnej zbladła, a czarne, bystre oczy zamglily się.

— Czy mogę przejść się?... — spytał onieśmielony Świrski.

— Niech się pan tak zachowuje, jak Władek—odrzekła Linowska, ściskając go za rękę.—Władek biega, jeździ, ślizga się, kładzie się, woła o jedzenie bez żadnej ceremonii; to samo zapewne robiłby u pana, więc pan niech naśladuje go tutaj...

Usta jej drgnęły, pobladła jeszcze wyraźniej i chwiejnym krokiem poszła do swe-

go pokoju. Spozstrzegła to panna Jadwiga i szepnęła do Świrskiego:

— Nasza mamusia wygląda, jak gdyby miała dostać ataku kamieni żółciowych...

— Czy to bardzo przykre?...

— Okropne bóle!... Niech pan jednak będzie spokojny, wiemy co robić...

— Może ja przydam się na co?... — spytał zakłopotany Świrski.

— Przyda się pan, ażeby jak najdalej być od nas.

I pobiegła za Linowską. Kazimierz zrobił parę kroków w stronę lasu, wnet jednak zawrócił ku domowi i po skrzypiących schodach wszedł na górę do pokoiku Władka, który teraz zajmował sam. Położył się na łóżku i zamknął oczy, ale wnet zerwał się, usłyszawszy z dołu jęk stłumiony. Pochylił głowę, natężył uwagę... Niema kwestyi, ten nieludzki krzyk płynie z pokoju Linowskiej!...

— Co ja zrobiłem?... co ja zrobiłem!—szepnął, wpijając ręce we włosy.

Na dole jęk wzmagął się.

— Z mojej to winy syn narażał się na śmierć, a przynajmniej na więzienie... ojciec zachorował, a teraz—matka...

Zbiegł na dół, wszedł do sieni i skierował się do pokoju Linowskiej. Potem stanął i czekał. Jęki chorej słabły, niekiedy cichnęły.

„Umiera, czy co?...—myślał.—Trzeba istotnie *pecha*, ażeby przed godziną wyjechał doktor!“...

Stał na środku kancelaryi Linowskiego, nie wiedząc, co robić. Nagle uchylły się drzwi od pokoju chorej i ukazała się w nich Jadwiga z mokrym ręcznikiem.

— Gorzej?—spytał wylękniony Kazimierz.

— Lepiej... niech się pan nie boi... Przykładamy gorące okłady... zażyła opium... wszystko będzie dobrze... Ale też z pana wrażliwy!...

Świrski wzruszył ramionami i, wykręciwszy się na pięcie, poszedł w głąb lasu.

— Dyabli nadali z babami, czy co?... — mrucał, rozgniewany uwagą Jadwigi.—Ja i wrażliwość!... — Niedawno oglądał siebie w lustrze pokoju jadalnego. Więc ten wysoki, barczysty, wyprostowany młodzieniec, w obcisłej kurtce, w butach z długimi cholewami, a nadewszystko — z miną oficera, której mu wszyscy zazdrościli, więc on ma być tak wrażliwy na niewieście jęki, że aż spozstrzegła to panna Jadwiga?...

— Oto wpadłem!...

Przyszedł mu na myśl pałac w Świerkach, ogromne pokoje, a potem cała gromada rządców, ekonomów, gorzelników, leśników... I to on, współwłaściciel tego pałacu,

znalazł się w pokoikach, których sufitu dosięga ręka, a kiedy stanie przed oknem, to w mieszkaniu robi się ciemniej... I to on, któremu jego rządcy, ekonomowie, gorzelnicy i leśnicy kłaniają się z najwyższym szacunkiem, on dziś wystawał pode drzwiami pani podłej i tak zakłopotany, że posądzono go o nadmierną wrażliwość!...

— Tfy!... — mruknął. — Oczywiście musiałem w oczach tej pani mieć minę felczera albo pielęgniarki, kiedy aż roztkliwiła się nade mną... A niech sobie chorują, niech się leczą... Jestem na kwaterze, dziś u podłej, jutro u księcia, pojutrze u żyda... Mam co innego na głowie, aniżeli ich dolegliwości... A Władek?... Cóż Władek! Jak zostanie moim adjutantem, będzie doświadczał tego samego, co i ja... Żołnierzo- wi nie wolno bawić się w sentymenty.

Idąc lasem, marzył.

— Szkaradna droga dla artylerji: nawet zimą i latem trzeba tu jechać ostrożnie, a po kilkodziennym deszczu można potopić armaty... Za to dla partyzantów uciecha!... W tych krzakach, na prawo, ukryłoby się ze dwustu ludzi... A tamto wzgórze?... Co za świetna pozycja dla kartaczownic!... Ani jeden wóz, ani jeden koń nie przeszedłby drogą... ani jeden człowiek nie zostałby przy życiu. Jakie sosny!... I wyobrazić sobie za każdą dobrego strzelca?... Gdyby nasi w 63-im roku posiadali dzisiejsze karabiny i armaty, a Moskale broń ówczesną, nie nazywanoby nas buntownikami... Mielibyśmy tem więcej praw do wolności, im więcej kul na minutę wypuszczałaby nasza broń...

Potem już nie widział lasu, ale, przed oczyma jego duszy, na jakimś ogromnym polu zaczęły rozwijać się kolumny wojsk nieznanych. Wszyscy byli odziani w bluzy, spodnie i czapki francuskie-kepi barwy ciemno-szaraczkowej; lecz jeden pułk odznaczał się żółtymi kołnierzami, epoletami i lampasami u czapek, drugi—białymi, trzeci—amarantowymi, inne—zielonymi, szafirowymi... Wszyscy mieli na plecach czarne rańce, opasane szynelami, w ładownicach po sto ładunków i—pyszne karabiny z czworograniastymi bagnietami...

Za piechotą maszerowała konnica na wspaniałych koniach jednej maści, dalej—armaty z ciemno-szafirowymi lawetami, jaszczki z nabojami, ambulanse. A wszystko to sunęło porządnie, podwójnym krokiem, w stronę lekkiej mgły, która rozciągała się na dalekim horyzoncie, skąd dolatywał gęsty grzechot karabinów i ciężkie stękania armat.

Świrski widział to wszystko: każdą maszerującą nogę, każdy szaraczkowy mundur,



ŚPIEWACY WĘDROWNI

K. MEISSONIER

każdą twarz... Oto jeden szereg: młody oficer bez zarostu, obok niego żołnierz z ogromną kasztanową brodą, za nim trochę młodszy z ciemnymi wąsikami, potem chłopak z dużym nosem i wysokim czołem, dalej chłopak z białą twarzą i jakby podpukniętymi oczyma, potem znowu starszy blondyn z brodą podstrzyżoną...

Wszyscy poważni, surowi, zapatrzeni w ową daleką mgłę, którą szarpały błyskawice wystrzałów... Od czasu do czasu słychać komendę: marsz!... marsz!... albo półgłose: pośpieszaj, psia cię mać!... czego się płaczesz pod nogami?...

Jedna orkiestra skończyła marsza Garibaldiego, druga poczyna grać: „Do broni, ludy! powstańmy wraz”... Pomimo mrozu na dworze, w duszy Świrskiego upał; zdaje mu się, że w powietrzu czuć woń potu i prochu.

Naprzód!... naprzód!...

Nowa zmiana obrazów. Nieznane wojsko wchodzi do miasta X. Muzyki grają marsza z Aidy. Krzyczą żołnierze, krzyczy ludność, krzyczą domy i ziemia: niech żyje!... niech żyje!... A wśród gęsto skupionej publiczności Kazimierz dostrzega jakąś białą, zgrabną rękę kobiecą i parę wesołych oczu...

„Panna Jadwiga?...—mówi do siebie.—Ten jakiś pan Klemens waryuje za nią, ale Władek chyba nie kocha się w niej... To

i dobrze: żołnierz niema czasu na amory”...

Potem przypomniał sobie jej spojrzenia, jej niepokój o niego i nagle czarowne wizje znikły. Znikły wojska zwycięskie, muzyka rozplynęła się... Kazimierz znowu zobaczył las i rzekł do siebie:

— Przecież nie ożeniłbym się z nią!...

Obiad tego dnia był późny i Świrski jadł go sam; panna Jadwiga tylko nalala mu duży talerz powidłanki i poszła do chorej Linowskiej. Po obiedzie Świrski w kancelaryi podłej oglądał księgozbiorek. Znalazł komplet powieści Sienkiewicza, „Bibliotekę Dzieł Wyborowych“ i starannie oprawne komplety „Kuryera Polskiego“. Najbardziej jednak zajęły go mapy gubernii, wykonane przez topografów wojskowych, i szczególne karty lasów, należących do Hut Żelaznych.

— Oto dla mnie właściwa zabawa—rzekł. —Zamiast poddawać się halucynacyom, albo marzyć o oczach panny Jadwigi, wolę rozejrzeć się w mapach. Kto wie, może kiedy w tych stronach będą odbywały się marsze i staczały bitwy?...

Zabrał mapy do swego pokoiku na górę, wziął jeszcze pół libry papieru i ołówek i cały długi wieczór zimowy spędził na przypatrywaniu się i rysowaniu. Przy herbacie dowiedział się

o zdrowiu pani Linowskiej, a potem wrócił do siebie i znowu oglądał, mierzył, rysował, każdą ścieżką leśną, każdą kępę drzew, każdy jar i pagórek. Na drugi dzień wieczorem, już miał wcale dokładną mapę lasu i o tyle poznał go, że, przy pomocy notatek, nie tylko nie zabłądziłby w nim, ale nawet—trafiłby do ważniejszych punktów.

— I taką mapę gubernii muszę kupić!...—rzekł do siebie.

W piątek z rana furman, który odwoził Linowskich, powrócił z Grudy. Opowiedział, że podróż odbyła się bez żadnych przygód i oddał listy: pani Linowskiej, która ledwie podniosła się z łóżka, i Świrskiemu.

„Nie masz pojęcia—pisał Władek—jak mi doskonale zrobiła ta przejażdżka. Kilka godzin w dobrze znanych okolicach, niby to jedno z drugim nic—a przecie!... Ach, Kaziu, gdybyś Ty do nas przyjechał choćby na parę dni, choć na parę godzin... Nie wiem, czy zmiana miejsca, czy zetknięcie się z nowymi ludźmi, ale... szczerze Ci powiem, że—wiele, wiele poglądów zmieniło się we mnie, a im bardziej oddalałem się od naszego kochanego miasta X. i od Słomianek, tem więcej bieg moich myśli zbliżał się do przeznaczonego Dębowskiego. Boże, jaki to mądry człowiek!... Przyjedź—że choć na jeden dzień”...

(DCN)

ALEXANDER KRAUSHAR:

Wierszyk karlsbadzki Kollątaja

KARTKA HISTORYCZNA.

II.

W pierwszych latach drugiego dziesiątka wieku XIX bardzo ruchliwą i wpływową dodatnio działalność literacką rozwijał na gruncie krakowskim utalentowany, narodowym duchem ożywiony publicysta, Konstanty Majeranowski.

Przez ciąg lat 63-ich był on niepoślednim czynnikiem umysłowego życia w Krakowie i główną podporą tamecznego teatru narodowego; tworzył komedye, dramaty, opery z wielkim powodzeniem, wybierając dla swoich utworów tematy wyłącznie narodowe. Prócz tego był jednocześnie redaktorem kilku pism peryodycznych popularnych, między innymi: *Krakusa* i *Pszczółki Krakowskiej*, i tę nader urozmaiconą działalność na polu publicystyki prowadził aż do roku 1841, do chwili zgonu. Jemu to zawdzięcza Kraków wskreszenie obchodu konika *zwierzynieckiego*, na pamiątkę pogromu Tatarów.

Gdy w roku 1822 numer 27 *Krakusa* z wierszykiem Kollątaja nadszedł był do Warszawy, cenzura miejscowa, stosowana od roku 1819 z mocy dekretu księcia Namiestnika Zajęzka, kontrasygowanego przez ministrów Potockiego i Staszica, do wszystkich gazet i książek, wbrew zagwarantowanej Konstytucją wolności druku, zwróciła na ów wiersz szczególną uwagę i zakomunikowała inkryminowany numer *Krakusa* W. Księciu Konstantemu, który, wezwawszy senatora Nowosilcowa do Belwederu, nakazał stanowczą położyć tamę tego rodzaju objawom w druku.

W zastosowaniu się do owego rozporządzenia, senator Nowosilcow w dniu 19 lutego 1822 roku wystosował do rezydenta rosyjskiego w Krakowie, Zarzeckiego, odezwę tej osnowy:

„Jego Cesarzewiczowska Mość Wielki Książę Konstanty wręczył mi właśnie Nr. 27 pisma peryodycznego krakowskiego pod tyt. *Krakus*. Zauważyć w nim raczył W. Książę wierszyk Kollątaja i zdziwił się, że rzecz taka mogła się ukazać w chwili, mogącej tylko podnieść umysły skierowaniem ich ku wspomnieniom wypadków, zdolnych jedynie krzewić i utrwać nienawiść, która winna ustąpić innego rodzaju uczuciom.

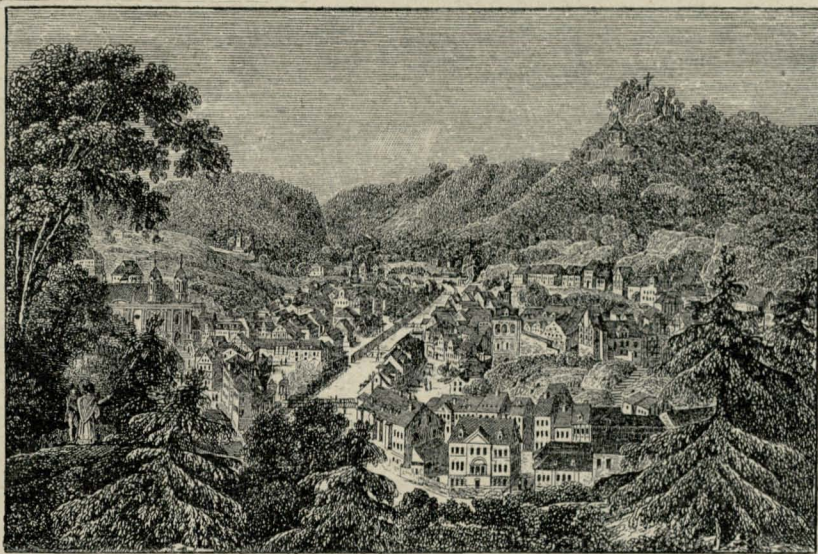
Przesyłam Panu tę gazetę z prośbą o jej zakomunikowanie Prezesowi Senatu z wyjaśnieniem, że publikowanie podobnego rodzaju utworów *nie omieszka sprowadzić najfatalniejszych dla Rzplitej następstw*. Racz Pan jednocześnie wpłynąć na podjęcie zarządzeń najskuteczniejszych, w celu zapobieżenia na przyszłość tego rodzaju cytacyom, ujawniającym złą wolę tych, którzy je drukują i krzewią ducha buntowniczego w czytelnikach dziennika. Racz Pan etc.

Nowosilcow*.

Po otrzymaniu takiej admonicji, rezydent Zarzecki w odezwie z d. 24 lutego 1822 r. wyjaśnił senatorowi, że „wręczył osobiście gazetkę inkryminowaną Prezesowi Senatu Rzplitej, z ostrzeżeniem go o następstwach tego rodzaju publikacji dla wolnego miasta Krakowa“.

„Pan Prezes — pisał dalej rezydent — dzielając moje uwagi, zapewnił mnie, iż nie omieszka zająć się tą sprawą, wskutek czego zawiadomił, iż cenzor i redaktor byli wezwani na policję, gdzie otrzymali należytą naganę (*une admonition*), ja zaś podjąłem się obowiązku pilnowania, by czujność w tym kierunku była nadal ścisłą“.

Nadesłał jednocześnie rezydent Zarzecki kopię otrzymanej w tej sprawie odezwę Prezesa Senatu Rzplitej, Wodzickiego, tej treści:



Widok doliny Karlsbadzkiej w początku XIX stulecia.

„Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Wskutek uwag, jakież mi J. W. Pan Dobrodziej ustnie względem artykułu w *Krakusie* Nr. 27 uczynił, wezwani zostali na Wydział policji Cenzor z Redaktorem. Tłómaczyli się, że napis, cierpiący przez Rząd austriacki na skale Karlsbadzkiej, od lat dwudziestu aż do dnia dzisiejszego *egzystujący*, nie zdawał się im być podejrzanym. Napomnieni jednak byli o większą ostrożność w wyborze przedmiotów tego peryodycznego pisma, i zaręczam, że się poprawią; ciągłem bowiem staraniem Senatu jest unikać tego wszystkiego, co by opiekuńczemu Rządowi się sprzeciwiało. Ja zaś w szczególności, choć nie mam konstytucyjnej władzy, wpływu jednak użyję, aby w tej mierze podwojona była ostrożność; mimowoli bowiem coś się takiego może wśliznąć do pism ulotnych, co by dwoistemu podpaść mogło tłómaczeniu, bez złego przedsięwzięcia.

Wodzicki*.

2 marca 1822 r. złożył Nowosilcow raport W. Księciu, z zapewnieniem, iż odtąd zwracana będzie bacniejsza uwaga na artykuły, drukowane nie tylko w *Krakusie*, lecz i w innych pismach, w duchu takim, który wywołał niezadowolenie W. Księcia.

Jakoż niebawem polecono Komitetowi Cenzury warszawskiej, by bez uprzedniego ocenzurowania pism, z Krakowa do kraju nadsyłanych, na rynek księgarski miejscowy ich nie puszczała. Sprowadziło to znaczną w dostarczaniu tych pism czytelnikom mitręgę, której ofiarą stały się w pierwszym rzędzie gazety Majeranowskiego: *Krakus* i *Pszczółka Krakowska*.

Wskutek zażalenia, wniesionego w tej sprawie przez Majeranowskiego do Prezesa Senatu Rzplitej, Senat w dniu 12 listopada 1882 r. wystosował do rezydenta Zarzeckiego odezwę tej osnowy:

„Redaktor wychodzących w Krakowie pism peryodycznych: *Krakusa* i *Pszczółki Krakowskiej*, dowiedziawszy się, iż, wedle świeżo w Królestwie Polskiem wyjęt mianego rozporządzenia, wszelkie pisma peryodyczne, w kraj Królestwa Polskiego wchodzące, winny być przed rozestaniem ich na prowincję z pocztamtów nadgranicznych do Warszawy dla Cenzury przesyłane, wniósł prośbę o wstawienie się, ażeby wyżej wymienione pisma peryodyczne mogły zostać uwolnionymi od tej tak utrudniającej rozchodzeniu się onych formalności.

Na prośbę księgarzy krakowskich, w podobnej okoliczności przedstawioną, raczył był J. O. Książę Namiestnik Królestwa rozkazem, z d. 12 listopada 1818 r. wydanym, upoważnić Rezydenta do zatrudnienia się cenzurą ksiąg chrześcijańskich, z Krakowa do kraju Królestwa Polskiego przysłanemi być mających. Tuszy sobie przeto Senat, iż, gdy JW. Rezydent prośbę Redaktora

Pszczółki Krakowskiej J. O. Księciu Namiestnikowi Królestwa przedstawił raczy i nie uchylił się od przyjęcia na siebie tego zatrudnienia, Redaktorowie pism peryodycznych, w Krakowie wychodzących lub na przyszłość wychodzić mających, cieszyć się będą dozwolonem księgarzom dobrodziejstwem, na którem tem więcej im zależy, że interes, do pism peryodycznych przywiązany, zawisi po największej części od szybkości, z jaką się żądającym czytaniom dostać mogą.

Wodzicki-Miroszewski*.

W dniu 18 listopada 1822 pisał rezydent Zarzecki do Nowosilcowa:

„Książę IMć Namiestnik Królestwa uwiadomił mnie raczył pod d. 26 października r. b. za N-rem 5980, że, stosownie do Rozkazu Najjaśniejszego Pana, agenci dyplomatyczni i konsulowie generalni Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, zagranicą akredytowani, w stosunkach z Rządem Kró-

lestwa mają się udawać wprost do Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. X. Konstantego.

Wskutek tego Najwyższego Rozkazu mam honor przesłać JW. Senatorowi do Najwyższej decyzji Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. Księcia przedstawienie Senatu Krakowskiego, w przedmiocie, aby pisma peryodyczne, w Krakowie wychodzące, mianowicie: *Pszczółka* i *Krakus*, jako książki, których cenzura na mocy Postanowienia Ks. Jegomości Namiestnika Królewskiego jest przy Rezydencie Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, do kraju Królestwa Polskiego wchodzące, przez Rezydenta Jego Ces. Król. Mości w Krakowie cenzurowane były“.

W raporcie z 15 listopada 1822 r., złożonym w tej sprawie W. Księciu, nie zgodził się senator Nowosilcow na proponowany tryb postępowania (*daby nie odstąpił od obszczych prawit*), co W. Książę w reskrypcie z 17 listopada 1822 r. potwierdził, i o tem Nowosilcow doniósł nazajutrz Zarzeckiemu.

4 grudnia 1822 r. pisał Zarzecki do Nowosilcowa:

„Redaktor wydawnictwa peryodycznego pod tyt. *Pszczółka*, wychodzącego w Krakowie, zawiadomił w numerze 48, że pismo to wychodzić przestanie, lecz frazesy, użyte w owem oświadczeniu, wydają mi się być nieprzyzwoitami (*inconvenantes*), i dlatego uważam za swój obowiązek donieść o tem Waszej Excellencyi, z załączeniem odpisu pomienionego oświadczenia.

„Zamknięcie *Pszczółki*.

Do łaskawego Czytelnika!

Pszczółka Krakowska z dniem dzisiejszym ostatni raz wychodzi. Okoliczności nieprzewidziane tak nakazują, ulegać im jest przeznaczeniem człowieka. Kończąc jej zawód, dzięki wam, rodacy, składamy za te względy, jakimicie ją zaszczycali! Miłość wszystkiego, co jest ojcyste, powoduje waszą szlachetną żądzą sprzyjania każdemu pismu narodowemu. Los, ten przewodnik odwieczny każdego, nakazał *Pszczółce* umierać, która, zstępując do grobu, z wdzięcznością was wszystkich żegna i zostawuje wydawcy swemu w całej puściźnie myśl, która jej stale towarzyszyła: *praca jest godłem mej rzeszy*“.

Incydent z *Krakusem* i *Pszczółką* nie stanowił wyjątku w epoce Królestwa konstytucyjnego kongresowego.

* * *

Kiedy i w jakich okolicznościach napis Kollątajowski w Karlsbadzie usunięto?—niewiadomo.



NA ŁONIE NATURY

L. KOWALSKI

Na jesieni r. z. Centralne Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem, w porozumieniu z organizacjami rolniczymi galicyjskimi postanowiło wysłać do Parany delegata, w celu zbadania zarówno ekonomiczno-społecznego położenia istniejących kolonii polskich, jakoteż nowych terenów, przeznaczonych przez rząd stanowy na kolonizację. Wybór padł na literata i publicystę z Warszawy, p. Ludwika Włodeka, który, wyjeżdżając, obiecał podzielić się wrażeniami swemi także i z czytelnikami *Tygodnika*. Dziś zaczynamy druk sprawozdania z podróży delegata. (Red).

I.

Pewnego bardzo brzydkiego poranku grudniowego r. z. wsiadałem na statek w Bordeaux, który miał mnie zawieźć do Rio de Janeiro. Deszcz lał, jak z cebra, na oceanie szalała taka burza, że dzień cały staliśmy na kotwicy w ujściu Garonny, a i potem, kiedy wreszcie ruszyliśmy, dopiero po dwóch dniach szalonego rzucania i kołysania dotarliśmy do Lizbony. Jednego z najpiękniejszych portów na świecie tym razem nie widziałem, bo staliśmy tylko godzin parę, a przybyliśmy wieczorem.

Od Lizbony zaczyna się część oceanu Atlantyckiego, zwana „Mer des Dames“, nie dlatego, aby była do dam podobna, wtedy bowiem mogłaby być kapryśna, lecz dlatego, że z powodu zupełnie spokojnej toni jest znośna nawet dla dam, którym choroba morska najwięcej dolega.

I istotnie, od Lizbony do samego Rio mamy pogodę prześliczną, dokuczają tylko nieco upa-



Brzegi Afryki.—Chata murzyńska.

ły. Morze spokojne, jak tafla szkła. Na pokładzie wre życie wielkiego hotelu. Zawijają się znajomości. Między innymi, o setki kilometrów od brzegów Europy, poznaję p. Michała Komara z Olgowa, obywatela z Litwy, który wybrał się do Parany, jako turysta, i w części podróży był moim towarzyszem.

...Dakkar — stolica posiadłości francuskich w zachodniej Afryce — pierwszy etap podróży. Poprzedniego dnia, w oddali, widzieliśmy wysokie, skaliste brzegi, warstwą piasku pokryte. Była to Sahara. I tu widzimy tylko piasek i bardzo suchotniczą roślinność. Część miasta europejska przypomina pierwszą lepszą podprefekturę, murzyńska zaś — to wioska, z okrągłych, kleconych z gałęzi, chat, trzciną pokrytych, złożona. Z duch panuje tu straszny.

Publiczność, przeważnie czarna, w najróżnorodniejszych strojach. Statek nasz „Chili“ (Messageries Maritimes) opadają łódeczki rybackie z zupełnie nagą czarną załogą, która za drobnymi pieniżkami, rzucanymi z pokładu, nurkuje i w zębach jej wynosi.



Brzegi Afryki.—Targ w Dakkarze.

Jest niedziela. W mieście na rynku gra muzyka. Eleganci czarni spacerują lub piją *apiritif* w świeżutkich cylindrach, kolorowych, aksamitnych frakach lub surdutach kolorowych, ale... boso. Eleganci donoszą najbardziej jaskrawe resztki wielkich bazarów paryskich. Inni i inne — mniej szczęśliwi — siedzą w kucki na placu, maskując braki różnych części garderoby. Nie brak też murzynów w mundurach — to oficjaliści i urzędnicy. Wszyscy razem rywalizują ze sobą szpetotą.

W cztery dni potem — równik. Przejście równika przypomina nasz dyngus: wszyscy oblewają się wzajemnie... nie groźnymi perfumami. Dużo śmiechu i gwaru.

Wczesnym rankiem dnia wigilijnego zapanał na pokładzie ruch ożywiony. Za parę godzin mamy stanąć w Rio. Jakoż powoli na widnokręgu wyłaniają się malownicze wzgórza, okalające zatokę. Strzeże do niej wejścia oryginalny *Pao d'Assucar*, kształtami głowę cukru przypominający. Na pokładzie rozlegają się coraz częściej okrzyki zachwytu. Bo też widok jest zachwycający. Dość powiedzieć, że słynny Neapol nie może być nawet z zatoką Rio porównywany.

Przystano po mnie mały stateczek rządowy, którym nas na ląd niebawem wysadzą, ułatwiono formalności celne, słowem pierwsze zetknięcie się z ziemią brazylijską było bardzo ujmujące. Ma nam stałe w Rio towarzyszyć rodak, p. Edward Radwan, urzędnik wydziału kolonizacji.



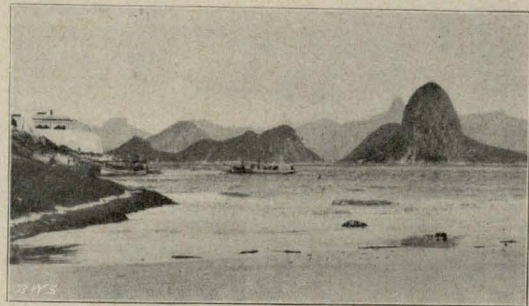
Rio de Janeiro.—Wnętrze domu emigracyjnego. Rusinka z Galicyi. Fot. L. Włodek.

Miasto ładne i ciekawe. Główna ulica, Avenida Central, wygląda, jakby była z cukru. Bo domy, najdziwniejszych stylów, przypominają wyroby cukiernicze. Byłyby może niemożliwe gdzieindziej — tu, w tem cudownym, błękitnym oświetleniu, w obramowaniu jaskrawo-zielonych gęstw roślinności, nabierają charakteru specjalnego. Inne uliczki przeważnie wąskie i ciasne. Jedna z nich, rua da Ouvidor, na której znajdziecie najpiękniejsze sklepy, jest ulubionym miejscem popołudniowego spaceru, zapewne dlatego, że panuje tu wieczny cień.

Niegdyś, jeszcze nawet przed kilku laty, mieszkańców wąskich i cuchnących uliczek dziesiątkowała stała epidemia żółtej febrы. Rio było zamknięte w kolonii, do której przewiewy nigdy nie dochodziły.

Olbrzymim kosztem porozwalano góry; przecięto Avenida Central, która pełni obowiązki korytarza do przewiewu; na gruzach gór stanęła nowa, najpiękniejsza dzielnica miasta, Botafogo. Rio zostało uzdrowotnione: żółta febra znana jest dziś jedynie z opowiadań starych podróżników.

Jest wieczór i noc wigilijna. Najgorętsza pora roku; upał trwa nawet w nocy. Po pasterce przeciągają ulicami rozbawione tłumy. Grają orkiestry, puszczają race, rozlegają się co chwila wiwatowe strzały rewolwerowe i pukania grochu strzelającego, wrzaski, śpiewy, tańce... To nawpół dziecinna ludność Rio, ludność kolorowa wszystkich odcieni, od bardzo mlecznej do czarnej ka-



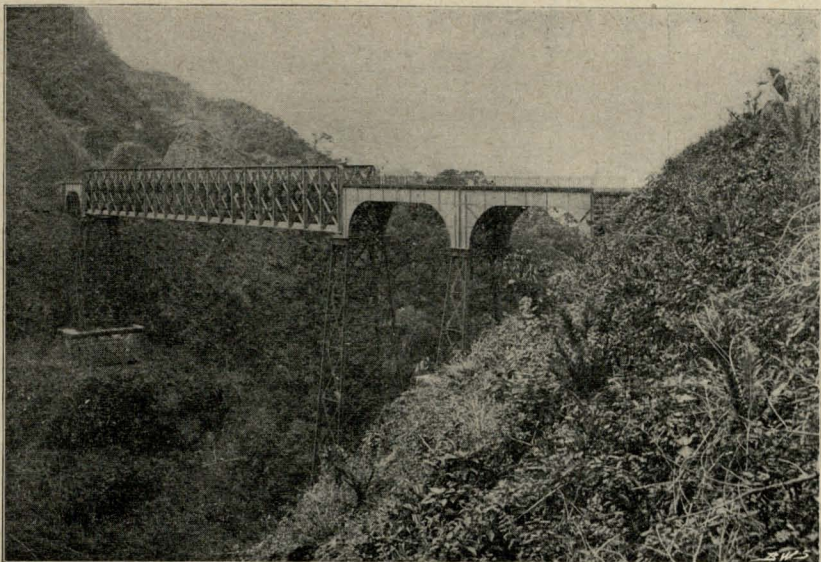
Zatoka Rio de Janeiro. Na froncie skała, zwana „Głową cukru“ (Pao d'Assucar).

wy włącznie, okazuje swą radość z powodu, że „Chrystus nam się narodził“.

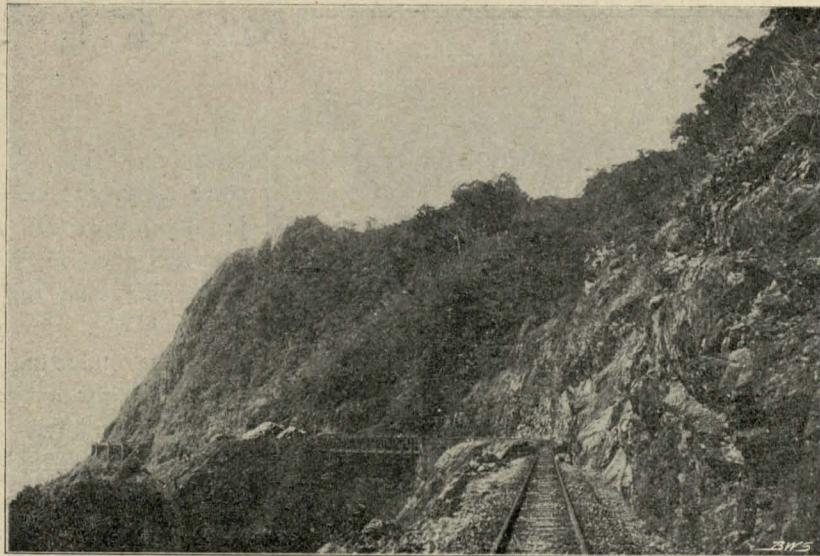
Ta sama ludność przepelnia kawiarnie podczas następnych dni świątecznych. Mówię „kawiarnie“, a właściwie zakłady te łączą w sobie wszystkie typy: owocarni i sklepiku spożywczego, naszego handelku i cukierni, szynku i kawiarni. Wielkie, wysokie sale, bez okien, bez drzwi, ciemne a przewiewne, aby wedle możliwości były chłodne.

Tu przyjezdny turysta objada się różnymi dziwnymi owocami, o dziwnych nazwach, a jeszcze dziwniejszych smakach i zapachach; tu opija się różnymi z tych owoców przygotowywanymi lemoniadami. Aż wreszcie następstwa nie dają na siebie czekać i przed podnieconą wyobraźnią staje straszne widmo żółtej febrы.

Drugiego dnia mego pobytu w Rio spotkała mnie miła niespodzianka: przybycie dawnego mego znajomego, p. Kazimierza Warchałowskiego z Kurytyby. I zaraz potem rozczarowanie — wyjazd jego do Europy; *Tygodnik* drukował podczas



MOST NAD PRZEPAŚCIĄ



KOLEJ ŻELAZNA Z PARANAGUA DO KURYTYBY.

WIADUKT CARVALHO

jego pobytu w Warszawie zajmujący szkic o Paranie.

W towarzystwie tego miłego przewodnika przebyłem następnie kilka dni w Rio. Zrobiliśmy kilka wycieczek. Przedewszystkiem na *Ilha das Flores* (wyspę kwiatów), gdzie znajduje się dom emigracyjny.

To piekło, znane z opisów poprzedników moich z przed lat siedemnastu, gdzie panował tłok, ścisk nie do opisania, gdzie grasowały wszelkie możliwe choroby zaraźliwe, przedstawia się dziś, jako prześliczna wysepka, w głębi zatoki, zdala od miasta położona, bujną, południową roślinnością pokryta, słowem, jako mały raj ziemski. Dom dla emigrantów niewielki, ale doskonale urządzone, z dobrą wentylacją górną, osobnymi pokojami familijnymi, przedstawia się o wiele lepiej, niż dom emigracyjny w New-Yorku. Produkty świeże, kuchnia dobra, kilkudziesięciu emigrantów z Rusi galicyjskiej, wesołych, wypasionych, zadowolonych ze swego losu—wszystko to potęguje jeszcze dobre wrażenie. Obok starego stana trzy nowe domy, których plany widziałem, jeszcze lepiej urządzone, pozbawione zupełnie sal wspólnych i zaopatrzone jedynie w pokoje familijne na kilkanaście osób. Kiedy opuszczałem Brazylię, 13 maja r. b., domy te były już pod dach doprowadzone.

Druga wycieczka—do ogrodu botanicznego, położonego bezpośrednio pod Rio. Żałuję, że nie jestem przyrodnikiem, że nie mogę więc opisać całej piękności i bogactwa okazów flory po-

łudniowej. Notuję tylko wspinałą aleję palm królewskich, których ojczyzną jest Afryka, ale które nigdzie nie dochodzą do takiej wysokości, jak tu, gdzie zostały później już aklimatyzowane; dalej aleję bambusów, tak gęstych i tak wielkich, że pod utworzoną przez nie galerią łuków gotyckich można znaleźć schronienie przed deszczem.

Trzecia—najpiękniejsza—na szczyt Corcovado. Wjeżdża się kolejką, a po drodze można obserwować całe bogactwo dzikiej flory tutejszej, nieprzebyte gąszcze, sploty lianów z różnymi gatunkami drzew i krzewów, nieraz bujnym, różnokolorowym kwieciami pokrytych, że zdala wyglądają niby barwne plamy na tle ciemnej zieleni. A ze szczytu widok, jakiego w życiu swoim nie widziałem. Dopiero stąd można nabrać pojęcia o rozległości i rozmaitości zatoki, która streszcza w sobie wszystkie krajobrazy znane i piękne, tu wśród dzikich skał drzemiące jeziora, owdzie uśmiechnięte kępy zieloności, w których kryją wstydliwie swoje kształty ładne, białe wille, gdzie indziej samotne wysepki, nagie wzgórza poszarpane, a wszystko pokryte mocno błękitnym stropem nieba, z którym walczy granat tła bezbrzeżnego oceanu. Pół roku minęło od czasu, kiedy te cuda oglądałem, a dziś jeszcze wdzięczna pamięć rysuje mi z całą plastyką rzeczy widziane i z toni zapomnienia wyrzuca powrotne fale dawnego zachwyty...

Tak—Rio jest pięknym miastem i ma cudne okolice. Pobyt byłby tu rozkoszny, gdyby

nie... upały, dochodzące w pokoju i w nocy do 40° Celsjusza. Nie znam większej męczarni, jak składanie w takich warunkach klimatycznych wizyt urzędowych w czarnym surducie; nie znam większej rozkoszy, jak chłodzenie się potem gorącą herbatą, na przewiewnej galeryi, w stroju więcej, niż sumarycznym. O ile nie byłem na wycieczkach, przechodziłem przez te męczarnie i używałem tych rozkoszy...

Z powodu upałów dokuczliwych, bez żalu opuszczałem Rio po tygodniowym pobycie. Dwudniowa droga statkiem Lloydu brazylijskiego z Rio do portu parańskiego, Paranagua, nie zaznaczyła się niczem wybitniejszym.

Za to kolej żelazna z Paranagua do Kurytyby jest słusznie uważana za jeden z cudów świata. Kiedy jechałem w tamtą stronę, ulewny deszcz i mgły zakrywały cały widok; za ledwie od czasu do czasu podmuch wiatru rozrywał na chwilę opony z mgieł, co dawało cięń pojęcia o piękności widoków. W drodze powrotnej byłem szczęśliwszy; mogę nazwać tę linię przepiękną nie ze słyszenia, lecz z widzenia. Uderza tu nie tylko piękność widoków, ale i niesłychana śmiałość pomysłów inżynierskich, mosty, rzucane nad przepaściami, wiadukty, balkony, przyczepiane do skał—słowem splót tego, co dała przyroda, z dziełami geniuszu ludzkiego.

Wreszcie, po miesięcznej blisko podróży, 4 stycznia r. b., stanąłem w Kurytybie.

JULIUSZ SŁOWACKI:

Z AUTOGRAFÓW.

Anioł ognisty, mój anioł lewy,
Poruszył dawną miłości strunę...
Z tobą—o, z tobą, gdzie białe mewy,
Z tobą pod śnieżną sybirską trunę,
Gdzie wiatry wyją tak, jak hyeny,
Tam, gdzie ty pasiesz na grobach reny.
Z grobowca mego rosną lilie—
Grób, jako biała czara prześliczna...
Światło po nocy z pod wieka bije
I dzwoni z cicha dusza muzyczna.
Ty każesz światłom owym zagasnąć,
Dźwiękom ucichnąć, duchowi zasnąć...
Ty sama jedna na szafir święty
Modlisz się głośno, a z twego włosa

Jedna za drugą—jak dyamenty—
Gwiazdy modlitwy lecą w niebiosy...

* * *

Anioły stoją na rodzinnych polach
I, chcąc powitać, lecą w nasze strony—
Ludzie schyleni w nędznych i niedolach
Cierniowemi się kłaniają korony.
Idą i szyki witają podrózne,
I o miecz proszą tak, jak o jałmużnę.

Postój! o postój! hułanie czerwony,
Przez co to koń twój zapieniony skacze?
—To nic... to mojej matki grób zhańbiony,
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.

Koń dobył iskier na grobie z marmuru
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

.....

* * *

Biada wam, gdy się budzi duch i obudzony
Stoi świeży, krwią nową żywota czerwony;
Gdy okiem błyskawicy na wsze strony błyska
I świat do nowych wielkich lotów powoływa...
Wyście wynieśli dawne królów prochowiska
Z kośćmi w trumnach. Zamiast krzyceć:

Polska żywa!

Wyście krzycecie: Niechaj żyje z cudzej pracy!
A tył wam szpikowali ołowiem Prusacy...

— Czekalesz to me, Jantoś, czekalesz?— wyjąkała niedowierzająco.

— I jak jeszcze! A to, kiej ten głupi, co dnia wisiałem u kraty i oczy wypatrywałem za tobą, i co dnia cię czekałem!—Nagły żal nim zatrzęsł.

— Jezu kochany! A tak me skłątesz tam za brógiem! A takiś przódzi był zły! A kiej cię brali, to aniś spojrział na mnie, aniś przemówił... Dobrze baczę, miałeś to dobre słowo la wszystkich, nawet la psa, jeno nie la mnie! To już myślałam, że się wścieknę!

— Nie miałem złości do cię, Jaguś, nie. Ale jak się dusza człowiekowi zapieczę w zgryzocie, toby i siebie i wszystek świat wytracił...

Milczeli, stojąc tuż przy sobie, biedro w biedro. Księżyc świecił im prosto w twarz. Dyszeli ciężko, szarpani gryzącymi spominkami, oczy im pływały w zakrzepłych łzach żalów i udreki.

— Nie tak to me kiedyś witałaś!—rzekł smutnie.

Rozpląkała się nagle i rzewliwie, kiej dzieciątko.

— Jakże cię to mam witać, jak? Małość to me już pokrzywdził i sponiewierał, że tera ludzie patrzą na mnie, kiej na tego psa...

— Ja cię sponiewierałem? To przeze mnie?—Gniew go przejął.

— A przez ciebie! Przez ciebie wygnała me z chałupy ta flondra, to świńskie pomietło! Przez ciebie poszłam na pośmiech całej wsi...

— A wójta to już nie baczysz? a drugich, co?—buchnął groźnie.

— Wszystko bez ciebie! Wszystko!—szepetała coraz bardziej rozszalona.—A czemuś me do się zniewolił, jak tego psa? Miałeś przecież swoją kobietę. Głupia byłam, a tyś me tak opętał, co już świata bożego za tobą nie widziałam! I czemuś me potem ostawił samą, na pastwę?

Ale i on porwany żalami zasyczał przez zaciśnięte zęby:

— To ja ci kazałem ostać moją macochą? Ja cię też pewnie niewoliłem, byś się tłukła z każdym, kto jeno chciał, co?

— To pocoś mi nie wzbronil? Byś me miłował, tobyś me nie dał na wolę, nie ostawiłbyś me samej a jeno strzegł przed złą przygodą, jak to drugie robią, jak wszystkie!—skarżyła się boleśnie i tak pełna niezgłębionego żalu, że już nie poredził się bronić. Odpadły go wszystkie złości a serce się rozdygotało kochaniem.

— Cichoj, Jaguś, cichoj, dzieciątko!—szeptał z tkliwością.

— I taka krzywda mi się stała, to i ty powstajesz na mnie, jak wszystkie, i ty, i ty!—szlochała, wspierając głowę o stodołę.

Usadził ją przy sobie na miedzy i jął przygarniać do serca, a tulić, a głaskać po włosach i, obcierając jej twarz zapłakaną, całował jej wargi roztrzęsione, i te oczy zalane

gorzkimi łzami, te kochane a tak przesmucone oczy. Pieścił ją, przyhołubiał i spokojił, jak jeno poredził, że już płakała coraz ciszej, przywierając doń, kieby to pokrzywdzone dzieciątko, i z taką dufnością uwiesiła mu się na szyi a kładła głowę na jego piersiach, jakby na tem matczynem sercu, kaj tak lubo jest wypłakiwać wszystkie boleście a smutki...

Ale Antkowi już się mąciło w głowie, bo takie luboście były od niej i tak go rozprażało jej ciepło, że coraz zajadlej całował i coraz mocniej ogarniał ją sobą...

Zrazu ani miarkowała, do czego idzie i co się z nią wyrabia. Dopiero kiej się już całkiem poczuła w jego mocy i kiej jął rozgniatać jej wargi rozpalonymi całunkami, zaczęła się szarpać a prosić lęklawie, prawie z płaczem:

— Puść me, Jantoś! Puść! Løboga, bo będę krzyczeć!

Ale mogła się to już wydrzeć smokowi, kiej ścisłał, jaże tchu brakowało, i całą przemawiał war i dygotania.

— Ostatni raz pozwól, ostatni!—skamlała, ledwie już zapiąc.

Aż świat się z nią zakręcił i poleciała jakby na dno jakowegoś raję, a on ją wzion, jak to kiedyś brał, zapamiętała, przez lubą moc kochania, i dawała mu się też, jak kiedyś, w słodkiej udreće niemocy, na niezmiernie szczęście, na śmierć samą...

Jak kiedyś, mój Jezu! Jak dawniej! Jak zawdy!

Noc stała rozgwiażdżona, księżyc wisiał wysoko w pół nieba; nagrzane, rozpachnione powietrze obtulało pola pośpione w niezgłębionej cichości; cały świat leżał bez tchu w upojnem zapomnieniu i w słodkiej pieśzocie niepamięci.

A i w nich nie było już pamięci o niczem, nic kromie ognia i burzy, i nic kromie wiecznie żądnej i wiecznie nienasyconej tęsknicy. Jak kiedy uschnięta drzewina ożeni się z pierunem i buchnie w niebo płomieniami, że już wraz giną, huczając weselną pieśń zraty, tak i oni przepadali w jakichś nienasyconych żarach. Ożyły w nich dawne miłości i zwały się, strzelając bujnym, radosnym ogniem na to jedno mgnienie zapamiętania, na tę jedną tylko minutę ostatniej radości.

Bo kiej znowu siedli przy sobie, już im tak cosik omroczyło dusze, że spojrzeli na się trwożnie, ukradkiem, rozbiegając się oczami, kieby ze wstydem i żalem.

Nadarmo szukał wargami jej warg głodnych całunków, jak kiedyś: odwracała się z niechęcią.

Nadarmo szeptał przezwiska co najśłodsze: nie odpowiadała, pilnie zapatrzona w księżyc; więc burzył się w sobie i chłód, przejęty dziwną markotnością i żalami.

Siedzieli, nie wiedząc już, co mówić, niecierpliwiając się jeno a wyczekując, które się pierwej ruszy i pójdzie sobie precz.

A w Jagusi jakby już wszystko wyga-

sło ze szczętem i rozsypało się w popiół, bo ozwała się z przytająną złością:

— Aleś me zniewolił, kiej ten zbój, no!

— Nie mojaś to, Jaguś, nie moja?—Chciał ją przygarnąć, odepchnęła go gwałtownie.

— Anim twoja, anim niczyja, rozumiesz? Niczyja!

Rozpląkała się znowu, ale już jej nie spokojił ni utulał, lecz po jakim czasie powiedział ważnym głosem:

— Jaguś, poszłabyś ze mną we świat?

— Kajże to?—podniosła na niego zapłakane oczy.

— A choćby do samej Hameryki! Poszłabyś za mną, Jaguś?

— A cóż to poczniesz ze swoją kobietą?

Zerwał się, kieby go kto biczem trzasnął.

— Prawdę pytam! Trutkę to jej zadasz, czy co?

Pochwycił ją wpół, przygarnął krzepko i, całując namiętnie po całej twarzy, jął prosić a molestować, bych z nim jechała we świat, kajby już ostali razem i na zawsze. Sporo czasu mówił o swoich zamysłach i nadziejach, czepił się bowiem nagle tej myśli uciekania z nią, kiej pijany płota i kiej pijany też plótl, ogarnięty gorączkowym wzburzeniem. Wysłuchiwała wszystkiego do końca i odrzekła z przekąsem:

— Zniewoliłeś me do grzechu, to rozumiesz, com już do cna zgłupiała i uwierzę ci w bele bzdury...

Przysięgał na wszystko, jako świętą prawdę powieda; nie chciała już nawet słuchać i, wyrwawszy się z jego rąk, szepnęła:

— Ani mi się śni uciekać z tobą. Po co? Abo mi to źle samej?—Obtuliła się zapaską, rozglądając się uważnie.—Późno, muszę już bieżyć!

— Kajże ci pilno, nikto przeciek z chałupy za tobą nie patrzy?

— Ale na ciebie pora. Już tam Hanka pierzynę wietrzy a wzdycha...

Rozżarł się na te słowa, kiej pies, i syknął urągłiwie:

— Ja ci nie wypominam, kto tam na ciebie po karczmach wyczekuje...

— A jakbyś wiedział, co niejeden gotów czekać choćby do słońca, jakbyś wiedział! Sielnieś zadufany w siebie i rozumiesz, co jeno ty jeden jesteś!—gadała, prześmiejając się zjadliwie.

— A to leć choćby nawet do Żyda, leć!—wykrztusił.

Ale się nie ruszyła z miejsca; jeszcze stali przy sobie, dysząc jeno ciężko a pooglądając na się rozsrożonemi ślepiami, a kieby szukając w sobie tych jakichś słów najbarzej bolących.

— Miałeś coś pedzieć, to mi rzeknij, bo więcej już do cię nie wyjdę...

— Nie bój się, nie będę cię wywoływał, nie...

Romans przyszłości.

Co pewien czas wśród utworów literackich ukazują się tak zwane „powieści przyszłości“, które pod formą romansu starają się zwrócić uwagę swego społeczeństwa na niebezpieczeństwo, zdaniem autora, już nieraz bardzo blisko temu społeczeństwu zagrażające. Utwory te są czemś pośrednim pomiędzy rubryką sensacji a broszur agitacyjnych z myślą polityczną.

Epoka współczesna je lubi. O ile pisane są inteligentnie, z bystrością kombinacji „przyszłości“ i oparte na zasadach naukowych, obok zaciekawienia mogą wzbudzić i poważniejszy interes.

Jednym z takich chciwie czytanych obecnie utworów jest powieść znanego angielskiego pisarza Well'sa, drukowana na łamach dziennika *Pall Mall Magazine* pod tytułem: „Wojna w powietrzu“. Szczególnej aktualności i wagi nabrała ona wobec wycieczek napowietrznych hr. Zeppelina, gdy przed koncertem europejskim wyłoniła się nowa kwestya międzynarodowa, która domaga się niezwłocznego rozstrzygnięcia w ten lub ów sposób ze strony Rosyi, Anglii i Francyi, jako najbardziej zagrożonych od strony „powietrza“.

W powieści swojej Wells opisuje krwawe starcie Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi i Anglią, jakoby mające nastąpić za lat siedem. Niemcy, pobudzane do wojny ekonomicznymi warunkami, trzymają w ścisłej tajemnicy ostatni swój wynalazek w dziedzinie techniki wojskowej — olbrzymi napowietrzny okręt, dający się także swobodnie kierować, jak i zwykły morski. Cała chmara podobnych okrętów wybudowana jest potajemnie. I kiedy nadchodzi kryzys (wojna się rozpoczyna przed oficjalnym zerwaniem stosunków dyplomatycznych), Niemcy posyłają do Stanów Zjednoczonych całą flotyllę napowietrznych statków, które z początku na Atlantyku niszczą znaczną część okrętów amerykańskich.

Stany Zjednoczone słyszały, że Niemcy posiadają flotyllę napowietrzną, gdyż o niej pisały gazety, lecz te były tak skompromitowane w oczach czytelników, że im nikt nie dawał już wiary. I Ameryka o całej prawdzie dowiedziała się dopiero wtedy, gdy napowietrzne okręty niemieckie pojawiły się nad New-Yorkiem. Do tego czasu obywatele

Stanów Zjednoczonych zachwycali się wojną, lecz bardziej po amatorsku. Lubili wojskowe ćwiczenia, przeglądy i parady, zachwycali się, gdy w gazetach pojawiały się artykuły, skierowane przeciwko innym państwom, gdyż byli pewni, że wojna nie może być nigdy przeniesiona na ich teren, ponieważ wybrzeża republiki broni silna flota i warowne fortece.

I rzeczywiście Stany Zjednoczone były niedostępne przed wynalezieniem statków napowietrznych. Kiedy stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Ameryką naprężyły się, Amerykanie nastroili się bardzo szowinistycznie. Jednym słowem, powtórzyło się to, co było we Francyi przed wojną z Prusami, w Anglii podczas wojny z Boerami.

„W New-Yorku — pisze Wells — na wszystkich placach i przed pomnikami zbierały się tłumy, aby słuchać patryotycznych mówców i bić brawo. Młodzież ogarnęła mania upiększania się patryotycznymi kokardami i znaczkami. Jednostka, nie posiadająca podobnej dekoracji, była w niebezpieczeństwie. W cabaretach nawet wszystkie piosenki i kuplety były poświęcone tylko wojnie, a publiczność, wsłuchując się w nie, urzędała krzykliwe manifestacje. W rezultacie entuzjazm patryotyczny dochodził do patologicznych prawie objawów. Gdy na scenie ukazywały się baletnice z narodowymi chorągiewkami w rękę — nawet starcy płakali z radości. Korzystając z ogólnego uniesienia, rząd Stanów Zjednoczonych przeprowadził uchwałę obowiązującą dla wszystkich odbywania powinności wojskowej“.

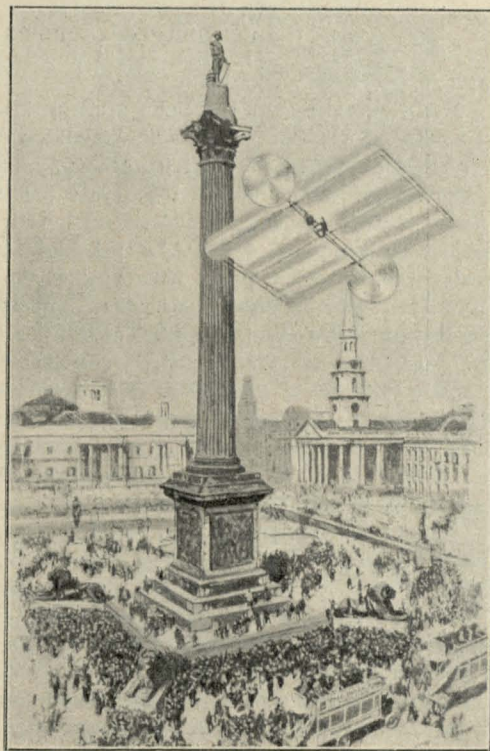
Ministerjum wojny długo nie wierzyło, że Niemcy posiadają napowietrzną flotyllę; wreszcie i ono zaczęło gorączkowo pracować nad wynalazkiem podobnego rodzaju. Odczuwając potrzebę tajności pracy, ministerjum rozmyślnie zwracało uwagę społeczeństwa w inną stronę. Gazety pisały o wynalezieniu olbrzymich elektrycznych armat, specjalnie przygotowanych na to, aby niszczyć statki napowietrzne.

Lecz oto niemiecka napowietrzna flotylla, zniszczycielszy amerykańskie pancerniki, dotarła do brzegów Ameryki.

„Flotyllę — pisze Wells — zauważyli najpierw spacerujący nad morzem. Olbrzymi „Vaterland“ mignął, jak błyskawica, nad obserwatorium. Wszystkie ulice i dachy zaroily się od patrzających. Wkrótce jednak okręty napowietrzne rozpoczęły manewrowanie. New-York był tak olbrzymi i tak spokojny, że myśl o wojnie, mającej się zaraz rozpocząć, wydawała się wszystkim wprost dziką. Policja zmuszona była rozganiać tłumy... Elektryczność zagasła. Wkrótce pustka zapanowała na ulicach olbrzymiego miasta. Straszny huk rozlegał się bezustannie. Runął most, arsenały i publiczne gmachy. Potem zapanowała złowroga cisza. New-York wywiesił białą flagę... „Zdrada!“ krzyknęły tłumy, gdy dowiedziały się o szczegółach walki i kapitulacji miasta“.

I okrzyk ten rozlegał się zawsze, gdy upojony szowinizmem naród nagle doznawał porażki. Podczas wojny z Prusami tłum paryski, podniecony przez sprzedajne pisma, rwał się do Berlina, a po dwu miesiącach wykrzykiwał: „zdrada!“ Analogiczne zjawisko przy podobnych warunkach powtarzało się w wielu innych krajach.

Wynikiem niezadowolenia New-Yorku z powodu kapitulacji było powstanie mieszkańców. Władze oddały miasto, lecz ludność wymówiła posłuszeństwo i kapitulować nie chciała. Wszyscy



Tłumy wyległy podziwiać niezwykle zjawisko.

myśleli o dalszej walce. Tłum zawładnął jedną z olbrzymich elektrycznych armat. Z jej pomocą jeden z okrętów napowietrznych został przedziurawiony i, jak albatros, spadł na fale. Żołnierze niemieccy daremnie próbowali go naprawić i obronić się przed rozwścieczonym tłumem, który pozabijał wszystkich co do jednego. Wtedy flotylla napowietrzna rozpoczęła bój ostateczny. Okręty długą linią przesuwaly się wzdłuż ulic miasta, zasypując je granatami i bombami. „Olbrzymie gmachy padały, jak domki z kart. Mężczyźni, kobiety i dzieci ginęły tysiącami. W kilka minut New-York płonął, jak piekło. Śmierć królowała wszędzie...“

Na tem opisanu zniszczenia New-Yorku i „ostatniego w historii boju pancerników“ kończy Wells swój romans, o ile tylko to określenie utworu można zastosować w tym wypadku. Właściwie nic z tego, co przywykliśmy łączyć z pojęciem romansu, w opowiadaniu Wells'a niema zupełnie. Jest to jedynie zapowiedź i, na nieszczęście, bardzo prawdopodobna niedalekiej przyszłości.

Najbardziej słynne wojny przeszłości w porównaniu z ostatnią na Wschodzie, biorąc na uwagę liczbę ofiar, wydają się dziecięcą zabawką. Z kolei rzeczy i ta wyda się nam w niedalekiej przyszłości drobnym figielkiem, gdy do machin wzajemnego niszczenia się dojdzie jeszcze najstraszniejsze orędzie — napowietrzna flotylla.

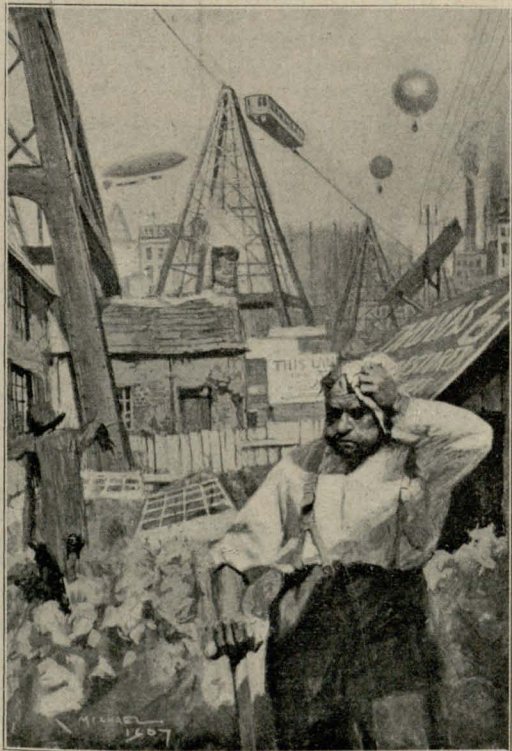
R. KWIATKOWSKI.

Virgini et Matri.

Z TRYOLETÓW.

I otom znowu, jak zbląkane jagnię,
U boskich Twoich, o Przczysta, stóp;
Niech kwiat Twej łaski do mych ust się nagnie,
Bo oto wracam, jak zbląkane jagnię.
Daj, niech zeń piję. Rosy dusza pragnie...
Znów mi się w niebie pali ognia słupek,
Który mnie przywiódł, jak zbląkane jagnię,
Do boskich Twoich, o Przczysta, stóp.

M. M. POZNAŃSKI



Mister Tom Smollways zauważył nowe zmiany.

CO PRZYNOŚI WIĘDZA I TECHNIKA?

(Żądza szczęścia i duch czasu.—Ognisko rodzinne i rozwój ekonomiczny.—Mechanizm pracy społecznej.—Dzisiejsze życie.—Tradycje i postęp.—Samopomoc matek.—Rzeczywistość bytu).

Nieubłaganą, żelazną mocą rzeźbi duch czasu nowożytnie społeczeństwa.

Kształtowanie się nowego trybu życia, walka tradycji z potęgami rozwoju przejawia się nie tylko w wielkich rozmiarach walk politycznych, społecznych, ale i w codziennym życiu rodziny i w życiu jednostki. Bo proszę zważyć, że ubiegłe stulecie z imponującym rozmachem postępu pracy, wynalazków, przemysłu, nauk przyrodniczych, badań i t. p. nie tylko przemieniło formy produkcji, sposoby zaspokajania potrzeb życiowych, t. j. stronę materialną życia, ale przeobraziło także treść ducha. Tłumione przez długie stulecia „pragnienie życia” spotęgowało się u wszystkich. Więc wyrwa się odwieczna „żądza szczęścia” z padołu łez i boleści ku nowemu duchowi czasu z nadzieją, że w przekształconych warunkach bytu rozkwitnie każda dusza ludzka, że będzie... pogodniej, lepiej na świecie...

Przecież nic nie zagłuszy dziś tego poczucia w każdej piersi ludzkiej, że milionom takim samym, jak my, milionom kobiet, milionom mężczyzn jest źle, bardzo źle—jest całe życie jedną wielką męką, nędzą, abnegacją człowieczeństwa. A dziś cały świat stał się jednym wielkim targiem, setki tysięcy machin pracują za półtora miliarda ramion ludzkich, dla materialnych potrzeb człowieka; uczeni wnikają w zdumiewające tajemnice życia, a przed oczyma ducha coraz wyraźniej rysuje się prawda majestatu przyrody. Więc serca wzbierają mocniej, solidarniej, wielkim pragnieniem „szczęścia dla wszystkich”.

A nadzieja ta nie wydaje się utopijnym marzeniem, bo widzimy, jak z naszą wolą lub przeciw naszej woli, kształtują się siły ekonomiczne, kształtuje technika, kształtują przemysł i sztuka—odmienny od dawnego trybu życia, inne warunki bytu, nowe poglądy i zwyczaje. To wcale nie jest frazesem, ale prawdą, którą czujemy i czuć musimy.

Weźmy pod uwagę rodzinę, dzisiejsze ognisko domowe, tę komórkę społeczną, jak wygląda dziś ten dawny podział pracy, zakres czynności mężczyzny i kobiety. Mąż dawniej pracował w domu, żona przędła, szyła, gotowała, piekła i t. p., a pieczę nad dziećmi mogli mieć oboje. Nie byli zmuszeni do zarabkowania poza domem. Własne domostwo było miejscem wytchnienia. Dzisiejsza jednak forma produkcji, rozwój techniki, rozwój przemysłu fabrycznego, zmieniły to „domostwo tradycyjne” nie do poznania.

Gdzież się podziały te czynności, będące dumą dawnych żon i gospodyń?

Proszę przejść ulicą nowoczesnego miasta. Pracownie, szwalnie, sklepy gotowych ubrań, olbrzymie bazy, w których można się zaopatrzyć od stóp do głowy.. Wszystkie potrzebne przedmioty otrzymać można wedle upodobania i, dodajmy najważniejszą rzecz, znacznie taniej, niż dawniej. Zupełnie odpadła konieczność dawnych domowych zajęć kobiecych. Jeżeli się szyje w domu, to z biedy, jeżeli pracuje, to nie bezpośrednio dla gospodarstwa, lecz dla zarobku z konieczności, albo dla zbytku.

Dom staje się tylko miejscem wytchnienia i odpoczynku—cała organizacja pracy, cały mechanizm społecznego życia rozwija się zdala od rodzinnego koła.

Nie ogarnia on dotychczas wszystkich pól, nie wszystkie warstwy społeczne, ale stopniowo wciskają się nowe warunki bytu coraz dalej i głębiej w całość zjawisk życiowych. Dawne formy i instytucje tracą swe znaczenie, a kształtują się z większym lub mniejszym oporem „przywiązanych do tradycji” nowe urządzenia. Wprawdzie czułe dusze wdychają: „wszystko zmaterializowane dziś, wszystko fabryczne, znikają dawne cnoty, wiara ginie i coraz gorzej”—ale... daremny to żal. Mogą wdychać, mogą się nawet oburzać, mogą wołać „après nous le déluge”—świat pójdzie swoją drogą. Jakie dziś wogóle prowadzimy życie? Nikt, z wyjątkiem małej garstki bardzo zamożnych, nie może się oswobodzić od wpływu dzisiejszych warunków produkcji i pracy. Mieszkamy w domach nie naszych, wcale nie urządzanych wedle naszego upodobania—mieszkamy w czynszowych budynkach, rodziny nad rodzinami, od dołu, aż do najwyższych pięter.

Pokoje są już stale urządzone dla specjalnego użytku, musimy porozumieć się z współlokatorami co do praczkarni, co do strychu, piwnicy i t. d. Nie wstajemy, ani nie udajemy się na spoczynek, jak się nam spodoba, ale tak, jak konieczność pracy tego wymaga. Cały tryb naszego życia jest już fabryczny, a my nie oponujemy wcale, dobrze nam z tem. Musimy wstawać o pewnej godzinie, udać się do pracy na czas oznaczony, a pory posiłków, obiadu, wieszery są już z góry wiadome. O stałej porze idą dzieci do szkoły, o tej lub owej godzinie jest sposobność użycia rozrywek umysłowych, teatru, koncertów i t. d., wogóle znajdujemy się już w pewnym mechanizmie, do którego stosować się musimy z tysiącnych względów.

I ten mechanizm rozkłada z wolna dawne „ognisko domowe”. Proszę wziąć pod uwagę „rodzinę biedną”: mąż przy pracy poza domem, w fabryce, w warsztacie, urzędzie i t. p., żona również, a dzieci, oddane na łaskę sług bądź Opatrzności, w domu lub, co gorzej, na ulicy. Cóż tam pozostało z tradycji dawnego ogniska rodzinnego? A przecież nie dziwicie się, gdy mówią wam, że tyle setek tysięcy kobiet pracuje dziś w tym lub owym zawodzie, tyle setek tysięcy w fabrykach. Są to matki, żony i córki. A ojcowie, mężowie, bracia? Także w fabrykach, warsztatach, biurach i t. d. poza domem.

Gdzież więc wychowanie rodzinne, gdzie przykłady cnót domowych, gdzie piecza nad dorastającym pokoleniem? Przyjaciół ludzkości, filantropi załamię ręce z rozpacz. Rzeczywiście kwestya to doniosła, ale wcale nie rozpacziwa.

Czyż państwo nie słyszeliście, jak najlepsze matki narzekają nieraz: „Boże, żeby już te dzieci wyrosły, aby oddać je do szkoły!” Dlaczego? Oto dawniej ojciec i matka pozostawali w domu i w domu była praca i dziecko miało udział w zajęciach rodziców i dozór, był i urozmaicenie dla umysłu młodocianego; dziś dziecię nudzi się w domu, ojca widzi rzadko, matka często znużona, zniecierpliwiona ruchliwością dziecięcą i pytaniami—nikt nie ma czasu zająć się niem tak, jak być powinno.

W zamożniejszym domu bierze się służącą (czem tańsza i głupsza, tem lepsza), ta wychodzi z dziećmi i czuwa—ale jak? Niech odpowiedzą na to matki. Czy stworzenie np. większej ilości publicznych ogródków dziecięcych z odpowiednią liczbą dozoruujących kobiet byłoby rzeczą bardzo rewolucyjną? Przecież dziś rodzice nie wiedzą nawet, gdzie i w jakim towarzystwie dzieci ich spędzają całe godziny! Czy to nie powinno zajmować wszystkich bez wyjątku? Jeżeli warunki pracy, przemożny wpływ stosunków, trybu życia wywołały te zjawiska, iż rodzice nie mogą odpowiedzieć doniosłemu zadaniu wychowania, to przecież jest rzeczą słuszną, by społeczeństwo stworzyło instytucje, zapobiegające wprost zwyrodnieniu pokolenia.

„Samopomoc matek” w Stanach Zjednoczonych zorganizowała setki ogródków pod dozorem nauczycielek, dobrych i rozumnych wychowawczyń, bo wychowanie jest nauką i sztuką; to samo dzieje się w Anglii i Belgii. Lecz socjalny polityk odpowie na to, że wychowanie to rzecz rodziców.

A jeśli rodzice nie mogą tego dokonać, gdy życie zmusza oboje do pracy poza domem—cóż wówczas? Ha! to już mało kogo zajmuje!—Że wzrasta liczba małych zbrodniarzy, że statystyka przestępstw i t. p. wykazuje postęp bardzo groźny dla społeczeństwa, na to znajduje się pociechę w „teorii o urodzonych zbrodniarzach”. Kto jednak patrzy głębiej i badawczo w życie, zrozumie, że każdy bez wyjątku, każda istota ludzka pod wpływem nienawistnych warunków życia może stać się zbrodniarzem.

Rzeczywistość dzisiejszego życia wymaga starannej opieki w specjalnych zakładach; dzisiejszy przemysł, rozwój techniki przeobrażają nieubłagane życie rodzinne, dom przestaje być „ogniskiem”, a tymczasem postęp etyczny, sprawiedliwość społeczna pozostają „tradycyjne”. Poglądy na świat przeobrażają się znacznie powolniej, aniżeli materialne warunki bytu, a choć niemanemu się zdaje, że „runie świat”, gdy runie „tradycyjna” rodzina, można przeboleć to krótkowidztwo.

Intensywność produkcji, przemysłu wielkiego, pociągnąć musi do licznego współdziałania społecznego i kobiety, a gdy rozwój techniki w łączności ze zmniejszeniem czasu pracy zapewni rodzinie materialny byt, wówczas nowoczesne „ognisko domowe” pojawi się na

wyższym stopniu rozwoju, bardziej etyczne i bardziej szczęśliwujące, niż dziś.

Wtedy i *kobieta* zabierze głos w sprawach doniosłych „publicznego wychowania”, a łącząc się z mężczyzną, nie ze „względów ekonomicznych”, ale tak, jak Bóg przykazał, z miłości—potrafi użyć swej energii dla prawdziwego dobra przyszłych pokoleń.

I bez optymizmu można być pewnym, że wówczas więcej będzie szczęścia na świecie i lżejszą praca i pogodniejszym życie całe.

EDMUND LIBAŃSKI.

Z ruchu wydawniczego.

St. Tarnowski. „Pani Adamowa Potocka, wspomnienie pośmiertne”, 8-ka, str. 8.

W Nrze 41 *Tygodnika* z r. z. podaliśmy sylwetkę i portret niedawno zmarłej matrony, jednej z najszlachetniejszych, jakie posiadał w swem gronie świat arystokratyczny Krakowa, Adamowej Potockiej, matki w tak tragiczny sposób zmarłego namiestnika Galicji. Tej, która „przeszła ogniowe próby od roku 1848, przez wszystkie późniejsze nadzieje czy złudzenia, kłęski i pogromy, a gorzała zawsze tym samym ogniem i udzielała go drugim dokoła”, tej, która „wszystkie boleści, przeszłe i dzisiejsze, wszystkie niebezpieczeństwa przyszłości, miała w swoim sercu i tak bolała, tak błagała, jak ta święta Kinga na obrazie Matejki”, poświęcił ciepłe, serdeczne, tchnące nie tylko czcią dla osoby zmarłej, ale i umiłowaniami tych ideałów narodowych, których ona była strażniczką przez cały długi swój żywot, wspomnienie pośmiertne prof. Tarnowski. Szkic ten celuje tym pięknym, wzniosłym stylem, którym tak po mistrzowski władza Tarnowski, zwłaszcza kiedy przychodzi mu mówić i pisać o przedmiotach umiłowanych. △

Jan Pietrzycki. „O liryce Konopnickiej kilka uwag”, Lwów, odbitka z *Przeglądu*, 1907, 8-ka, str. 16.

Autor słusznie nazwał ten swój szkic—garścią „uwag”. Nie jest to bowiem ani zarys całokształtu twórczości autorki „Obrazków”, ani też drobiazgowy rozbiór pewnej grupy jej utworów. Jest tu kilka ostrzeżeń, po większej części trafnych i dobrze ujmujących kierunki twórczości poetki. Tak np. stwierdza p. Pietrzycki, że cechą wybitną Konopnickiej jest „nasza rodzima polska sielskość”, że Konopnicka spojrziała w duszę wieśniaczą okiem łzawem, spojrziała nie przez ów pryzmat Lenartowicza, zawsze pogodny i jasny, w którym wieś stała w krasie wiosny i słonecznych blasków—ona w duszy sielskiej znalazła bólów ból, rozpacz i nędzę, nawiązała je, jak perły kosztowne, na struny lutni i ukochała głębokim kochaniem kobiecego serca. W dalszym ciągu autor charakteryzuje stosunek poetki do przeszłości oraz do sprawy kobiecej (na podstawie wiersza: „Do kobiety”). Wszystko to nie są rzeczy nowe, dawniej już bowiem były stwierdzone przez krytykę naszą; to też szkic niniejszy nie zajmie poważniejszego miejsca w literaturze przedmiotu, nie tylko jako studium, ale nawet jako przyczynek. △



Rys. Fr. Kostrzewski

ROZBAWIONY.

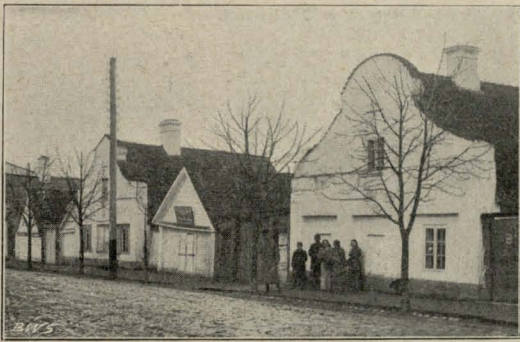
— Cóż ty taki rozbawiony. Zkąd wracasz?
— Jeździłem samochodem, zrobiłem 70 wiorst w 27 minut, rozbiłem dwa wozy, przejechałem krowę i trzech czy czterech ludzi. Mówię wam, pyszna zabawa!...

**Antoni Tyzenhauz,
podskarbi W. Ks. Lit.**

(KARTKA Z DZIEJÓW GRODNA)

Mija 175 lat, jak urodził się znany w dziejach naszych Antoni Tyzenhauz, twórca fabryk polskich, albowiem otworzył cały szereg fabryk w Grodnie, na Horodnicy i Łosośnie, zdaniem zaś Wybickiego, „chciał na puszczech litewskich odrazu Holandję kwitnącą widzieć, która się wiekami zwołała do swej dojrzałości wznosiła.“ *)

Lata 1765—1785 były najświetniejszą epoką Grodna, mianowicie za starostwa Tyzenhauza, podskarbiego W. Ks. Lit. Ten prawdziwy mąż stanu, podniosłego serca, a umysłem wybiegający za wiek swój, obrał Grodno za środkowy punkt swoich sprężystych działań do dźwignięcia kraju z ubóstwa i odrętwienia. Żeby podnieść Grodno, prze-



Grodno. Domki fabryczne na Horodnicy.

niósł do tego miasta kadencję trybunału litewskiego z Mińska, na czym naturalnie Mińsk ucierpiał, bez żadnej winy i przyczyny. **)

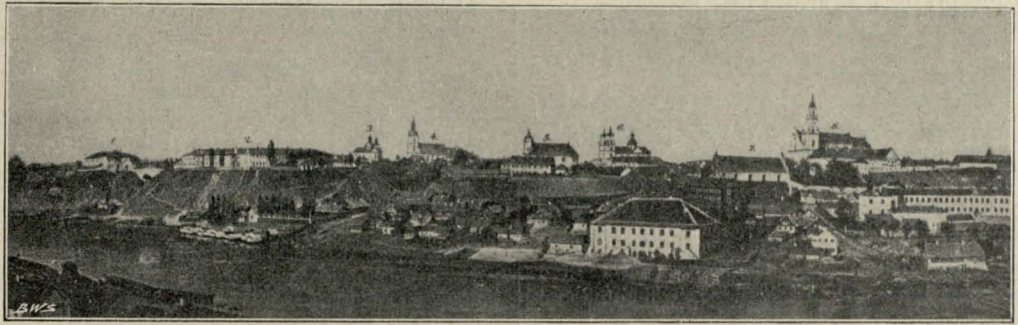
Założył w Grodnie dom handlowy z rozległym zagranicą kredytem, szkołę weterynaryj z ogrodem botanicznym na Horodnicy, gdzie dziś pałac ks. Czetwertyńskiego i ogród p. Wiryona, przekształconą później na instytut lekarski, gdzie pod przewodnictwem znakomitego Gilberta, profesora medycyny, z Montpellier sprowadzonego, uczono chirurgii i sztuki położniczej. Za jego rządów otworzone tu jeszcze zostały: szkoła mierniczych i budowniczych, wzorowe biuro ekonomiczne do kształcenia rządców i rachmistrzów w gospodarstwie wiejskim, oraz korpus kadetów. Niezmordowany w przedsięwzięciach swoich dla dobra kraju, sprowadził do Grodna z Niderlandyi i z Niemiec biegłych fabrykantów i na Horodnicy z nich, pod dozorem Jakuba Bécu, założył wielką osadę fabryczną, której szczątki widoczne są jeszcze w wystawach domów murowanych przy ulicy Lodowej (dawniej Rozkosz, obecnie Murawiewskiej), aż do dworca kolei żelaznej prowadzącej. Z 22-ch tych oryginalnych domków do naszych czasów zachowało się 9, i to częścią przerobionych.

*) Wybicki. „Pamiętniki u Raczyńskiego”. Obraz V. 27—9, 31.

**) T. Korzon. „Wewnętrzne Dzieje Polski”. T. II str. 246.



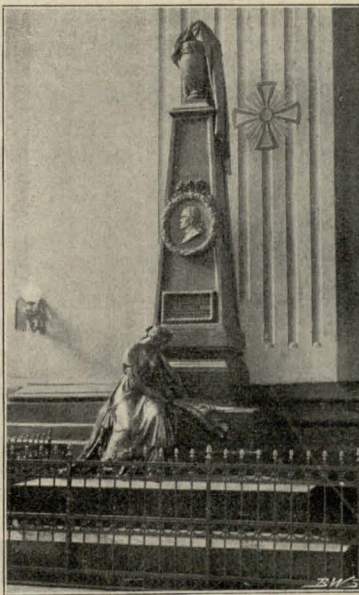
Grodno. Pałac po-tyzenhauzowski, w którym Stanisław August podpisał swą abdykację 1795 r.



WIDOK GRODNA ZA TYZENHAUZA. Kopia litografii z XVIII w.

Oprócz osady fabrycznej na Horodnicy, istniała jeszcze osada w Łosośnie. W tych dobrach stołowych, mówiąc słowami Wybickiego, Tyzenhauz: „jak na wielkim warsztacie, przemysłu swego założył pracownię. Łosośna, miejsce w przeszlicznej dolinie blisko Grodna, gdzie najwięcej rękodzielników miało swe warsztaty założyć, wystawiła mi obraz prawdziwej cywilizacji. Horodnica (przedmieście Grodna)... mogłaby się w Amsterdamie mieścić“ ***)

Za Tyzenhauza istniały w Grodnie i okolicach następujące fabryki: 1) fabryka złota, 2) persyarska, 3) sukienna, 4) płócienna, 5) kamlotarska, 6) pończosznicza, 7) koronkowa, 8) kapełusznicka, 9) karetańska, 10) bixmaherska, 11) igielnicza, 12) szpilek, 13) kart, 14) napilników, 15) mosiężnicza, 16) farbiernia sukienna, 17) farbiernia jedwabna, 18) drukarnia płócienna, 19)



Grodno. Pomnik Tyzenhauza w kościele farnym.

blech Iniany, 20) blech wojskowy, 21) garbarnia i 22) fabryka broni ****).

Nadto była jeszcze oficyna warsztatowa, westyarnia, spiżarnia, magazyn różnych materiałów i sklep manufaktury bławatny. Robotników naliczył Coxe 3,000, dozorujących i kierowników 70 *****). Z upadkiem Tyzenhauza runęły wkrótce te piękne zakłady, zostawiając po sobie ślady swego bytu w murach, składających Horodnicę, gdzie w pałacu po-tyzenhauzowskim mieszka dziś gubernator. Szkoła lekarska grodzieńska została przeniesiona około 1781 roku do Wilna, gdzie stała się za-

****) T. Korzon. „Wewnętrzne Dzieje Polski”. T. II str. 247. Raczyński. „Obraz Polaków i Polski w XVIII w.”. T. V str. 27.

*****) Jan Kołaczkowski. „Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce”. Lwów. 1880, str. 1—3.

*****) Coxe. „Travels” etc. I str. 220.

wiązkiem wydziału lekarskiego w uniwersytecie; reszta zakładów zmarniała i znikła z niepowetowaną szkodą dla kraju.

Sterczące do dziś dnia zwaliska Łosośny, których nikt nie uznał za dogodny do jakiegokolwiek użytku, zdają się stwierdzać wiarogodność tego smutnego obrazu.

W kościele farnym znajduje się marmurowy pomnik podskarbiego: na stopniach z szarego marmuru postać kobieca ze złoczonego brązu, rozmiarów naturalnych, siedzi pochylona i składa z wdziękiem dwa duże liście palmowe. Pośrodku pomnika medalion z bustem Tyzenhauza, niżej zaś tablica z napisem: „Antoni hr. Tyzenhauz, starosta grodzieński, podskarbi W. X. L., ur. 1733—1785. Marya z hr. Tyzenhauzów Alexandrowa hr. Przędziecka, spełniając wolę ojca i brata, pomnik ten wzniosła“.

Szczyt pomnika zakończony urną wspaniałego wykwintu.

I. J.—SKI.

ZAŚLUBINY.

Kiedy ma nadejść, tęsknie nasłuchuję w ranki
Kroków jego szelestu, i w żółte łubiny
Stroję odrzwia mej chaty na te zaślubiny,
Wypatrując go trwożnie oczyma kochanki.

Przez okna wieje zapach miodnej koniczyny,
W izbie się wśród zieleni bielą mleka dzbanki,
A na ławach weselne oczekują wianki,
Czerwienią się na misach glinianych maliny.

Czekam—i, wybiegając ku przydrożnej lipie,
Patrzę, jak się powoli kwiat z niej złoty sypie,
Jak omdlewają łąki w słonecznej pieszczocie

I opadają wiązki łubinów z mej chaty...
Tak codzień oblubienica wyglądam w tęsknocie,
Włosy swoje i izbę w świeże zdobiacz kwiaty.

ZOFIA DĘBICKA.

NIGDY.

Nigdy—z hukiem żelazne zawarły się wrota—
Nigdy—i gwóźdź ostatni wbito w trumny wieko,
Nigdy—z błękitów stropu spadła gwiazda złota—
Nigdy—i łza ostatnia zgąsła pod powieką.

Nigdy—ostatnia kropla krwi z serca ofiary,
Nigdy—to patrzę trupa zmętniałe źrenice—
Nigdy—więzień wysłuchał wyroku swej kary:
Niewinnego na wieczną skazano ciemnicę.

Nigdy—nurkowi linę ochronną przecięto,
Wędrowiec w otchłań bagna zapada powoli—
Orłu skrzydła—artyście prawicę odjęto.

Nigdy—otwartym grobem zakończona droga,
Czarnym krzyżem skreślona karta ludzkiej doli—
Człowiek na swoim życiu uczuł rękę Boga.

WANDA RATHŁOWA.

Wznowienie konstytucji tureckiej.

D. 23 miesiąca Djémazi-ul-akhir 1326 roku Hegiry (24 VII 08)

Pierwszy raz jutrenka swobód zabłysnęła na horyzoncie Imperyum Otomańskiego, gdy sułtan Abdul Medjid, 17-letni młodzieniec, syn sułtana Mahmuda Reformatora, przy wstąpieniu swem na tron w roku 1839 wydał pamiętne Irade, zwane Hattiszerif, w Giulhané, powszechnie zwane Tanzimat; lecz zwrot ten ku liberalizmowi trwał niedługo. Reakcja wzięła górę i zarzewie liberalizmu zostało stłumione, gdyż ludność muzułmańska, równie jak i chrześcijańska, pozostawała



Hassan Rami Pasza, b. minister marynarki. Został aresztowany. Podczas rewizji znaleziono w mieszkaniu jego skrzynię, zawierającą 4 miliony franków. Suma ta pochodziła z kradzieży publicznego grosza i z „bakszyszów“.

roku na tron opróżniony przez śmierć sułtana Abdul Azisa i usunięcie od rządów słabego na umyśle sułtana Murada V, widząc w jakim rozkładzie znajduje się jego państwo i jak oplakane są stosunki finansowe, postanowił nadać ludowi swemu konstytucję, która była tem, czem ongi w Anglii „magna charta libertatum” lub słynne „habeas corpus”. Konstytucja ta została proklamowaną d. 23 grudnia 1876 i parlament, powołany do życia, został osobiście otwarty przez samego monarchę d. 19 marca 1877 r.

Wiadomość ta była entuzjastycznie przyjęta przez współczesną Europę.

Lecz te rządy konstytucyjne trwały niedługo. W trakcie tego wybuchła wojna rosyjsko-turecka (1877/78) i konstytucja pozostała w zawieszaniu aż po dzień jej wznowienia d. 24 lipca 1908 r.

Wprawdzie przedstawiciele Turcji na kongresie berlińskim starali się kwestyę tę znowu w należyty sposób omówić, lecz do tego nie przyszło, gdyż dano im do zrozumienia przez pełnomocnika jednego z państw, mającego podówczas preponderancyjny prestige, że lepiej rządy konstytucyjne zastąpić rządem absolutnym i zaprowadzić stan wojenny.

* * *

Lecz raz rzucone do gleby ziarno zaczęło kiełko-



DŻJEMALEDIN EFFENDI-SZEIK UL-ISLAM.

wać i zapuszczać korzonki, potem korzenie coraz głębiej i głębiej.

Pomimo licznych represji, bardzo ostrej cenzury prasy, poczt i telegrafów, pomimo 20-tysięcznej falangi szpiegów i tajemniczych zniknięć różnych inteligentnych osobistości i deportacji do Yemenu (Arabii) na niechybną śmierć, partya młodoturecka wzrastała z każdym dniem w kraju i zagranicą, tak, że w wilię ogłoszenia wznowionej konstytucji miała za sobą cały III korpus macedoński wojsk, na które sułtan najwięcej liczył przy naprężonych stosunkach politycznych z powodu wprowadzenia gwałtem reform w Macedonii.

Korpus oficerski wzmiankowanych wojsk, mając na czele pułkownika gener. sztabu Niazi Beja (Resné), zmusił walego (generał-gubernatora) i dowódcę korpusu w Monasterze do przejścia na ich stronę i przewodniczenia gotowemu do maszerowania na Konstantynopol, 130,000-mu wojsku, do którego miały się jeszcze przyłączyć wojska z Saloniki i Adrianopola, by zniewolić sułtana do ogłoszenia konstytucji, natychmiastowego wypłacenia zaległego żołdu i ogólnej amnestyi dla przestępców politycznych.

Żądania powyższe, ujęte w formę ultimatum, były telegraficznie posłane sułtanowi d. 23 lipca r. b. i zostały mu przedstawione wieczorem dnia tego.

Sułtan Abdul Hamid, zrozumiałszy doniosłość sytuacji, zawezwał do siebie późnym wieczorem Saida Paszę, który był poprzednio 7 razy wielkim wezyrem, i zasięgnął jego rady.

Doradca sułtański odpowiedział dość lakonicznie, że nic innego nie pozostaje, jak ogłosić konstytucję.

Nazajutrz rano, d. 24 lipca, wszyscy walowie i mutessarifowie całego państwa byli już powiadomieni telegraficznie o woli sułtańskiej.

* * *

Przez ogłoszenie konstytucji Turcja została wzmocniona w dwojaki sposób, a mianowicie: uratowała wewnętrzną sytuację, która w ostatnich dniach była bardzo groźna, a w zewnętrznej polityce zrobiła doniosły krok, adoptując poniekąd doktrynę Monroe, jak to widać ze słów Salib Beja Gurdżji, prezesa centralnego komitatu



Turkan Pasza.



Ahmed Tewfik Pasza, twórca słynnego „Tanzimatu”, minister spraw zagranicznych w gabinecie Kiamila Paszy.

partyi młodotureckiej, zwanej w Paryżu: „Union et Progrès”: „Eh bien! nous jeunes Turcs, nous demandons une seule chose: c'est de voir l'Europe s'immiscer un peu moins dans nos affaires intérieures. La Turquie est aux Turcs: telle est notre devise”.

Ażeby ogłosić wznowienie konstytucji, trzeba było zmienić obecny gabinet ministeryalny, jak również usunąć wielkiego wezyra, jego wysokość Feryda Paszę. To nastąpiło i do życia został powołany nowy gabinet ministeryalny, na którego czele stanął wspomniany wyżej jako wielki wezyr Said Pasza, człowiek wielce inteligentny, uczonej i liberalny.

* * *

Parlament turecki będzie się składał z 2-ch izb, a mianowicie: z izby wyższej, czyli senatu, w którym zasiadać będą dygnitarze, stojący w randze walego (generał-gubernatora), lub ci, co byli w takowej, i izby niższej, składającej się z 400 deputatów.

Na mocy art. 43 konstytucji otwarcie (po waka-

cyach) parlamentu będzie się odbywało zawsze dnia 1/14 listopada każdego roku.

* * *

Przy dźwiękach Marsylianki wojska macedońskie proklamowały konstytucję, przy dźwiękach Marsylianki odbywały się uroczyste mityngi w naszej stolicy. Dewiza francuska: égalité, liberté, fraternité, przetłumaczona na język turecki błyszczała, złotymi literami wydrukowana na wstążkach koloru czerwonego, którą opasani byli wszyscy bez różnicy narodowości, stanu i religii w ciągu 8-dniowych uroczystości z powodu ogłoszenia konstytucji.

Zwykle przy zmianie rządów bez opozycji lub też rozlewu krwi się nie obywa, lecz ta „barbarzyńska” Turcja, za jaką ją miały po dzień dzisiejszy „ście cywilizowane” narody Europy, wprawiła cały świat w zadziwienie, że wypadek ten historyczny przeszedł bez najmniejszego zakłócenia porządku publicznego, przy radości ogólnej, przy zachowaniu godności.

Dumną ma prawo być Turcja ze swojej konstytucji i ze swych obywateli, którzy śmiało powiedzieli też mogą: *cives romani sumus*.

* * *

Pomimo tego wszystkiego, pewni dyplomaci, niechętni zaprowadzeniu rządów konstytucyjnych w Turcji, starają się za pomocą prasy, przez nich inspirowanej, podziać na opinię publiczną, dowodząc, że konstytucja nie może być adoptowaną przez Islam.

Ażeby zbić to tendencyjne twierdzenie, dostatecznym będzie uprzytomnić sobie pewne fazy historyczne Islamu, a przekonamy każdego, że Mahomet nie miał najmniejszej intencji ustalić sukcesyi dynastycznej. Przeciwnie, pozostawił wiernym swym prawo dowolnego obioru zwierzchnika z pomiędzy nich samych.

Abu Bekr, Omer, Osman, Ali byli obrani przez lud i ci 4 kalifowie, właściwie mówiąc, byli wielce czczeni prezydentami Rzeczypospolitej Mahometa.

Więc z tych przykładów historycznych wynika, że Islam nie sprzeciwia się bynajmniej monarchii konstytucyjnej, lecz nawet faworyzuje rzeczpospolitą.

Z drugiej strony Koran upoważnia lud do dyskusji w sprawach państwowych.

Tekst, który to nakazuje, służy jako dewiza w *Chourai Umet*, organie komitetu „Union et progrès”: *Vé émrhum choura beñehum*.

Również Koran nakazuje bronić swobodę i rząd liberalny i mówi, że w razie zamachu na nie trzeba się połączyć i wzajemnie wspomagać.

Z tego możemy wnioskować, że armia turecka nie wykroczyła w niczem przeciw Islamowi i że jej zachowanie się nie można uważać jako powstańczego.

Entuzjazm objął wszystkie sfery Konstantynopola. Procesy patriotyczne i pochody wychowawców szkół średnich i wyższych, cywilnych i wojskowych, do których przyłączali się wszyscy bez różnicy stanów, narodowości i religii, przeciągały przez ulice Stambułu i Pery. Grande rue de Péra przedstawiała w ciągu dni tych prawdziwie bajeczny widok.

Wszystkie domy i pałace były udekorowane flagami, stosownie do tego, do jakiej narodowości należał ich właściciel, a obok tych flag były jeszcze: zielony z białym półksiężycem i gwiazdą (kolor Proroka), i czerwony z takimże półksiężycem i gwiazdą (kolor nacyonalny).

Oficerowie na każdym kroku byli owacyjnie witani i dawali się słyszeć od

świu aż do późnej nocy okrzyki: Vive l'armée, vive la liberté, vive le sultan!— lub też po turecku: Padszachim tczok yaszal! (co znaczy dosłownie po polsku: długie życie padyśzachowi).

Teraz, po ogłoszeniu ogólnej amnestyi dla wszystkich ze-



Kiamil Pasza, wielki wezyr, prezes gabinetu.



Niazi Bej, przewodca młodoturków w Monasterze, który dał pierwszy sygnał do wybuchu.

słańców politycznych i, po powrocie ich do kraju z miejsca wygnania lub też z zagranicy, wraca do kraju liczny kontyngens ludzi wysoce inteligentnych, których celem było i jest wprowadzić Turcyę na prawdziwe tory życia socjalnego.

Przy normalnem rozwijaniu się życia parlamentarnego i załatwieniu naglących kwestyi, Turcyja ujrzy się obok Francyi i Anglii.

Allah omiur versiu. *)

* * *

Enver Pasza.

Gdy oczy całej Europy są zwrócone na Turcyę, nie będzie od rzeczy wspomnieć coś o rodaku naszym, generale dywizyi, generale sztabu generalnego i świty J. C. Mości sułtana—*Enver Paszy*, żyjącym ze swą rodziną w odosobnieniu w Kadikieuy-Moda, w jednej z podmiejskich miejscowości Konstantynopola po stronie azjatyckiej.

Ojciec Envera Paszy, Konstanty Borzęcki, właściciel majątku ziemskiego Modrzewice, w powiecie Nowo-Radomskim, gubernii Piotrkowskiej, po wypadkach 1848 roku wraz z wieloma rodakami schronił się do Turcyi, gdzie, przechodząc różne ciężkie koleje życia, po przyjęciu Islamu, wstąpił do wojska tureckiego pod przybranem mianem *Mustafa Dżelaledin Effendi* i szybko awansował w stopniach oficerskich.



Enver Pasza (Borzęcki h. Półkozic).

Generał Mustafa Dżelaledin pasza pojął za małżonkę córkę Envera paszy, wielkiego przyjaciela **) Polaków, i z tego małżeństwa urodził się w roku 1856 w Konstantynopolu nasz Enver Bej, późniejszy Pasza.

Młody Enver, po ukończeniu chlubnie nauk w r. 1874 w cesarskim liceum Galata-Seraj w Konstantynopolu, został wysłany przez ojca swego do Paryża, do kolegium *Chaptal*, by się przygotować należycie w wyższej matematyce do złożenia egzaminu do *École Centrale*.

W trakcie tego ojciec młodego Enver'a Beja poległ w Czarnogórze, a on sam, będąc wezwany z rozkazu sułtana do Konstantynopola, został odrazu kapitanem sztabu jeneralnego.

Odtąd szybko posuwał się po szczeblach kariery wojskowej i państwowej, spełniając obowiązki attaché przy poselstwie tureckim w Wiedniu, a następnie, odwołany ponownie do Turcyi, do czekał się wkrótce godności cywilnego i wojennego gubernatora w Volo.

Podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej jeździł z korpusem ekspedycyjnym na Kubę, a także znajdował się na czele misji nadzwyczajnej do Chin, ażeby na miejscu zbadać stosunki tamtejszych mahometan i pozdrowić ich w imieniu sułtana.

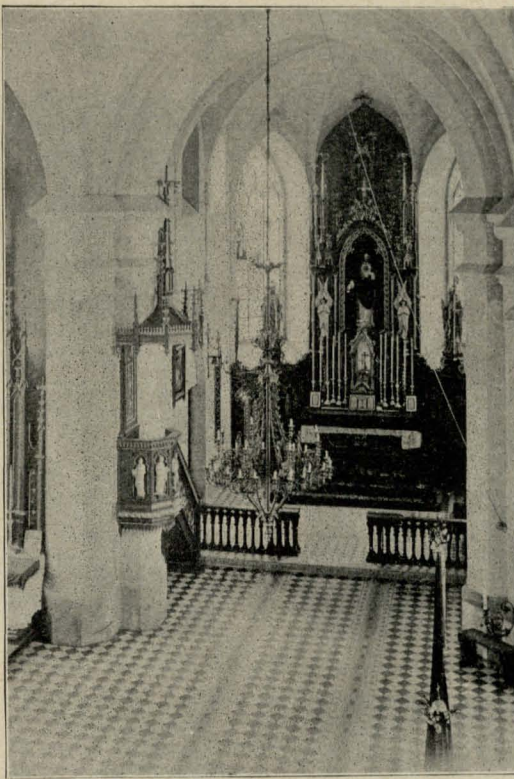
Po powrocie został zaszczycony godnością generała świty J. C. Mości Sułtana i ozdobiony wstęgą orderu Osmani'e. Odtąd Enver Pasza, zamieszkując w willi swej nad Bosforem w Kadikieuy-Moda, poświęca się studiom naukowym.

Co się tyczy zalet duszy jego, to można powiedzieć, że jest to człowiek rzadkiej uczciwości i sprawiedliwości, wielki patriota polski, pomimo tego, że nie włada językiem polskim, wielce się też interesuje wszystkim, co się tyczy ojczyzny jego przodka.

Dr J. FRUZIŃSKI EFFENDI.

*) Niech Bóg błogosławi.

**) Enver Pasza, właściciel licznych posiadłości koło Solunia (Salonik), znanym był z tego, że wszyscy Polacy, jeńcy-wojenni z r. 1856, znaleźli u niego przytułek i zatrudnienie.



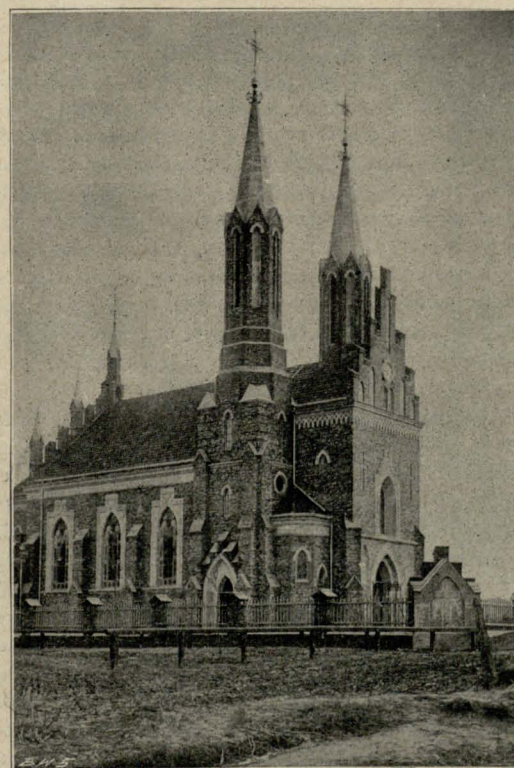
WNĘTRZE KOŚCIOŁA W ZEMBORZYCACH.

Kościół w Zemborzycach.

Jakkolwiek lud nasz wiejski dla braku odpowiednich warunków nie może mieć wyrobionego gustu estetycznego, niemniej jednak wielkie ma poczucie piękna.

W siedmiowiorstowej odległości od Lublina, w stronie południowej, ponad rzeką Bystrzycą leży duża wieś kościelna Zemborzycy, stanowiąca sama w sobie jednolitą parafię z półtrzeciatsięczną ludnością. Dla ludu polskiego kościół parafialny jest wszystkim... a kościół w Zemborzycach, stary, drewniany, pamiętający jeszcze początek XVII wieku, od wielu już lat chylił się do zupełnej ruiny, to też parafianie oddawna marzyli, aby tego staruszka zamienić na nową, okazalszą świątynię.

Ze względu na małą wiejską parafię trudne było zadanie miejscowego proboszcza, ks. Stefana Warszawskiego, wiele starań i zabiegów zmuszony był podjąć, zanim tym szlachetnym marzeniom swych parafian zaдоśćuczynić zdołał. Wybór planu, który powszechnie się podobał, sprawę ułatwił, już bowiem na rysunku zapowiadający się piękny kościół obudził powszechny zapal i dał bodźca parafianom do wielkiej z ich strony ofiarności. To też, mimo niezwykle trudne warunki, rozpoczęta budowa w maju 1906 r. ukończona już została kompletnie, z urządzeniem wewnętrznym, 6-go paździer-



KOŚCIOŁ W ZEMBORZYCACH.

nika 1907 r.; i tegoż dnia Jego Eksceleńcy biskup lubelski, ks. Franciszek Jaczewski, dokonał konsekracji nowego kościoła.

Autorem planu był architekt budowniczy na gubernię radomską, p. August Załuski, i jemu to zemborzycza parafia zawdzięcza, że posiada tak niezwykle piękny kościół, który mógłby być ozdobą i dużego miasta. Zaletą tego planu, prócz pięknych linii architektonicznych skromnego gotyku, było jeszcze to, że koszty budowy nie przewyższały materialnej możliwości niewielkiej parafii.

Funduszu dostarczyli wyłącznie sami parafianie, bez najmniejszej postronnej pomocy, nakładając na siebie dobrowolną składkę tak na samą budowę, jako też i na urządzenie wewnętrzne kościoła. Nawet ofiarowanych furmanek z sąsiedniej parafii do zwożenia materiałów nie przyjęli. Jedyną poważniejszą pomoc stanowiło drzewo materiałowe, wyjednane w donacyi przez plenipotentą, p. Jana Piątkowskiego.

Budowy ołtarzy dębowych polichromowanych i innych urządzeń wewnętrznych kościoła dokonała firma z Radomia „Krzywicki i Morawski” z wielką znajomością rzeczy, ściśle stosując się do skromnego gotyckiego stylu kościoła.

Tak więc, kiedy świątynia ta zupełnie została ukończona, kiedy zegar kościelny, wydzwanając godziny, ożywia wioskę i przypomina parafianom dokonane dzieło, lud ten śmiało sobie może powiedzieć, że jednak gromada to wielki człowiek, a piękny ten i schludny kościół parafialny mimowoli nakazuje, aby w duszach parafian było czysto, w umysłach jasno i w chatach schludnie, do czego też lud ten całą siłą dąży. X.

Córka Tuśki

POWIEŚĆ GABRYELI ZAPOLSKIEJ *)

...„Bo tam, na ulicy Wareckiej, dzieje się rzecz na pozór zwyczajna i codzienna w życiu ludzkim.

Oto *rodzina*.

Troje dzieci i dwoje rodziców pod jednym dachem w ciszy nocnej czynią obrachunki dusz własnych.

I każde z tych dzieci zmaga się z jakąś siłą olbrzymią, za ciężką na ich słabe barki.

I ten Mundek smutny, tragiczny, zacięty jakby w jakimś postanowieniu niezłomnem.

I ten Edek, klęczący z rękami rozpostartemi, z oczyma zalanemi wodą (aby nie zasnąć), powtarzający bezmyślnie słowa, od których nic się w jego sercu nie porusza (uczy się po rosyjsku).

I ta Pita, walcząca z tragicznym przeznaczeniem kobiety, z tą siłą miłosną, dławiącą jej drobne istnienie.

To wszystko, ten drobiazg, ten klomb młodego kwiecia walczy, męczy się samopas, błądzi, cierpi, cierpie w duszę wcisną.

Rodzice zaś, albo śpią, zmęczeni pracą, albo, jak Tuśka w tej chwili, kombinują, czy mundurek Mundka przyda się na Edka, czy szewiot na sukienkę Pity ma być granatowy i czy nie wypadłoby zacząć uczyć Pitę trochę śpiewać”.

Słowa powyższe, w których tylko dwa drobne nawiasy wtąciłem, wyglądają na streszczenie powieści, na jej wyjaśnienie.

A jednak to ustęp z samego dzieła autorki.

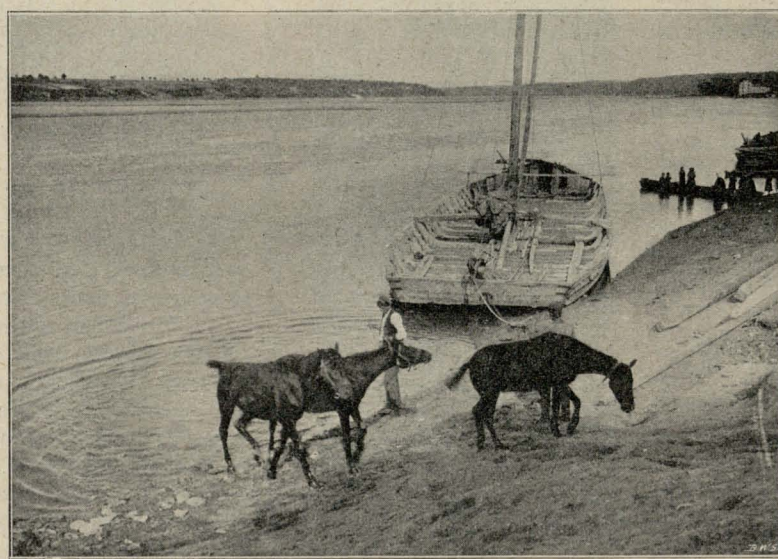
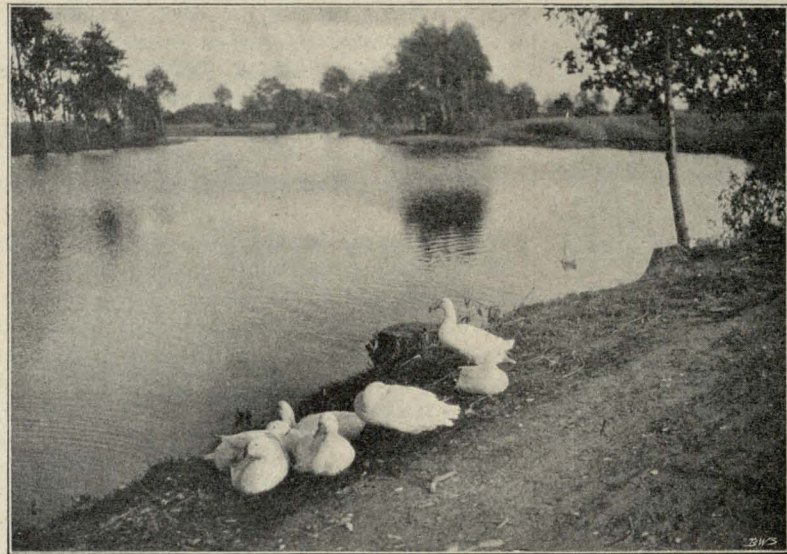
Wiele takich wyjątków możnaby przytoczyć. Charakterystyczną właściwością tej książki są właśnie te dodatki, które autorka rozsiewa wszędzie, nigdy nie stawiając czytelnika sam na sam ze stworzonymi przez siebie postaciami. Niewątpliwie przerywa to akcję, zmusza do powtarzania po raz drugi tego samego, co było powiedziane już w innych słowach, czyli zmusza do *opisywania* tego, co było przedtem *stworzone*, jest więc z artystycznego punktu widzenia rzeczą wadliwą tembardziej, że owe *podkreślenia* subtelności utworu płaczą się nieraz nie po namalowaniu jakiej sceny, lecz podczas niej.

Mamy więc wciąż, przez całą powieść, jakby podwójne oświetlenie, z wewnątrz i z zewnątrz, a to nie wychodzi na korzyść osiąganego wrażenia estetycznego.

Ale za to ów nadmiar oświetleń w pierwszorzędny sposób potęguje znaczenie „Córki Tuśki”, jako utworu *publicystycznego*, jako czynu społecznego. Wszystkie niedomagania współczesnej rodziny, cała, w obecnych czasach tak bolesna i napięta do ostatnich granic spiawa

*) Warszawa 1908. Nakład S. Orgelbranda S-ów.

ZE ŚWIATA ZWIERZĄT DOMOWYCH.



Fot. J. Augustynowicz

stosunku między „ojcami i dziećmi”, wszystkie bóle nierozumianych dusz młodych, ich samotność wobec najbliższych, ich bezwzględna wiara w siebie, ich buntownicze, jak życie samo, mocne myśli, roztrząsające zatęchłą atmosferę rodzinnego koła piorunami śmiałych, z niczem nie liczących się czynów, wszystko to, aż do pierwszych, naiwnych tęsknot i anielsko białych ukochań dziewczęcych, znalazło w powieści tej nietylko swój wyraz, ale też namiętną, a serdeczną obronę i pociechę.

„Córka Tuśki” jest to więc zarazem i powieść i jej popularyzacja, i dzieło sztuki i artykuł. Ale też w tym dziwnym utworze mieści się taka moc żywiołowego talentu, książka ta jest takim wybuchem nieposkromionego animuszu pisarskiego, że w miarę czytania owe porozrywane karty zaczynają się zrastać, zaczynamy odczuwać jednolity pęd uczucia, owiewający całe dzieło, rozumiemy, że ten właśnie, a nie inny sposób twórczości jest u Zapolskiej koniecznością, że pisząc inaczej, byłaby może doskonalszą, ale mniej szczerą, mniej *sobą* — a przez to wątpliwe, czy jakakolwiek na świecie książka zyskała coś naprawdę.

Przyjmijmy więc nowe dzieło Zapolskiej takim, jakim jest, pełnym przesubtelnych, czysto kobiecych odczuć i znakomych pomysłowości artystycznych, i pomijając zupełnie przypadkowe, zbyteczne zakończenie (przypadkowa śmierć Pity od kuli), zanotujmy sobie głęboko zasadniczą przestrożę autorki:

„Zapominają ci rodzice, że są światy, w które wprowadzać trzeba te dzieci, które niepewne i wahające stoją u progu i lękają się, trwożą, olśnione, i odwracają się w stronę pierwszej młodości, która od nich umknęła i tylko wicherem wspomnień po ugorach wieje.

Niechby rodzice pamiętali, że *nietylko ciała ich dzieci, lecz i dusze ich rosną*”.

J. KL.

Ze świata zwierząt domowych.

— Jest rzeczą znamioną — mówił mi kiedyś jeden z „życzliwych życia i wszelkim jego przejawom” (że się tak wyrażę; przejawom, oczywiście zasługującym na to) — jak mało naogół zwracamy uwagi, pomimo pewnych, „szerokich” niby nawet częstokroć w tej dziedzinie, urzędzeń, na byt zwierząt i wszelkie związane z nimi konsekwencje. Może to już wrodzona (?), zasadnicza niechęć najdoskonalszego na globie stworzenia do niższych w przyrodzie ustrojów, niechęć — *excusez du peu* — starszego brata do pewnego stopnia, a może tylko nieumotywowana niczem, wrodzona (?) również, bierna obojętność, granicząca często z bezmyślnością. Byłoby ciekawe przekonać się, jak też zareagowałyby w stosunku do nas te niższe „ustroje”, gdyby pewnego pięknego dnia zyskały cudownym sposobem możliwość „zewnętrzzenia się dokumentalnego”, t. j. możliwość mowy i niejakiego uplastycznienia czynu mózgowego. Czy odpłaciłyby równą na ogół obojętnością, czy też, wręcz przeciwnie, uznałyby nas za materyał, interesujący w dziedzinie poddawania go pod skalpel wszechstronny? I kto wie, czy nie stałoby się to drugie?

— Bo, proszę pana — ciągnął po chwilowej zadumie mój interlokutor — czem my, ludzie, możemy wykazać się w tym względzie? W znaczeniu szerokim, pełnym, ma się rozumieć. Bawimy się, ślizgamy po wierzchu w najlepszym razie, — rzadko, nadzwyczaj rzadko trafi się wyjątek. Zapewne, niejednemu może się wydać co najmniej przedwczesnym wnikanie w owe „zawiłości”, czy „prymitywności” w epoce, gdy „Król stworzenia”, człowiek, sam jeszcze, pomimo kapitalnych i bezkwestyjnie zastanawiających pozorów, jest niewyjaśnioną zawiłością, lub niedorośliwym do zawiłości prymitywem (co kto woli), kiedy, niezależnie od wielkich postępów nauki, psychologia eksperymentalna ludzka choćby znajduje się jeszcze w powijakach. Możliwe, że odpowiedzieć jednak, że tę i tamtą pracę dałoby się przeprowadzić

równorzędnie, że od żadnego zbytku głowa nie powinna boleć. Zwłaszcza, jeśli się ma wieczną pretensję do t. zwanego „wszechogarniania”.

— My, Polacy, celujemy w tej dziedzinie ubożuchnością specjalną — mówił jeszcze. — Nikt bez kwestyjny rezultat zagranicy w zakresie duszoznawstwa i bytoznawstwa zwierząt są dla nas imponującym, niedościgłym wynikiem, niestety. Wszelacy nasi badacze, obserwatorzy, uczeni, artyści nawet nie interesują się tem *na ogół* wcale. Że nie wspomnieć już o tłumie, masie „inteligentnej”. W tłumie „ciemnym”, wiejskim specjalnie, interesują się tem odruchowo, instynktownie przynajmniej...

— A „dziedzina” to bogata, wszak tak? — kończył. — Kopalnie okazów i właściwości, mozaiki „linii wewnętrznych” i „linii zewnętrznych”, chaos cech i charakterystyk, dopraszających się syntetyzowania choć z grubsza. Dla każdego, dla wszystkich. Nasza literatura świeci prerażliwymi pustkami pod tym względem. Nie mamy Kiplingów bodaj. Mieliśmy Dygasińskiego tylko — to był (jeśli o talentach mowa) unikat. A nasza sztuka plastyczna: malarstwo, rzeźbiarstwo? W porównaniu do tego, co by być mogło, co by być winno (pojęte nieszablonowo i niezdawkowo) — przecenianie i lekceważenie też ogromne...

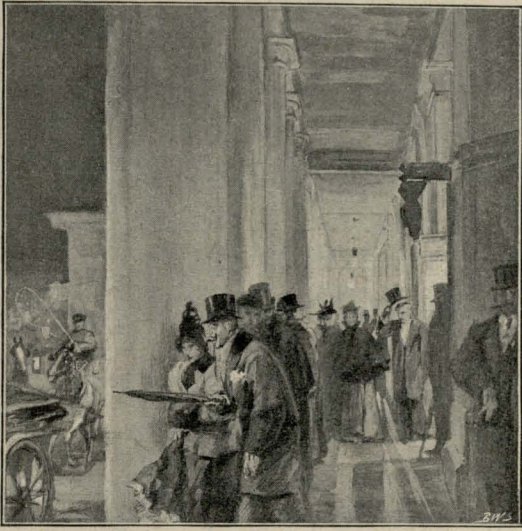
A szkoda...

JAN AUGUSTYNOWICZ.

ZŁOTE LISTKI.

Biedne pieśni mojej duszy,
Co się z wami stanie?
Czy was przyjmą ludzkie uszy,
I czy jaką pierś poruszy
Śpiewne wasze granie?...

RYDEL: „Biedne pieśni mojej duszy...”



WIECZORY TEATRALNE.

Wizje przyszło-sezonowe. — Mój kolega szkolny Ignacy. — Program operowy. — Nowości i wznowienia. — Gwiazdy, meteory i filary. — Kochańska i Paderewski. — Słów kilkoro pod adresem sz. publiczności naszej. — Nasi najpożądani goście sezonowi. — Konjunktury zimowe. — Pierwsze jesienne powiewy. — Wrażenia... zapomniane.

Zimą tegoroczną zdarzyło mi się spędzić wieczorów parę w operze z kolegą szkolnym, namiętym melomanem, bawiącym w Warszawie przyjazdem ze wsi, z Litwy głębokiej.

— To wy sobie—mówił—sprowadzacie siły wokalne *di primo cartello* i wystawiacie taką np. „Salome” z Gemmą Bellincioni! No... no... I to Rajchman wszystko wam urządza? I, słyszę, końce wiąże z końcami?

Potwierdziłem, dorzucając nieco szczegółów.

— Pozwól!—przerwał mi mój koleżka. — Wytłómacz mi teraz, proszę, dlaczego u was w prasie takie dostają się ciągi temu Rajchmanowi, skoro on operę warszawską trzyma, dąlbóg, na wcale a wcale przyzwolonej stopie? Powiedziałbym nawet, że za wiele daje wam specyłów. Gotów wam rychło nie smakować żaden... chleb powszedni!

Na szczęście kurtyna już szła w górę, zagrała muzyka i mogłem—chrząknąć tylko, przecierając pośpiesznie binokle.

... Przed kilku dniami znowu-m się natknął na warszawskim bruku z kolegą Ignacym—wracającym na wieś do siebie z Karlsbadu. Miał dłużej nieco popasać w Warszawie, ale rozmyślił się i oznajmił mi wczoraj, że—wyjeżdża. „Z wieczorem—mówił—niema co począć w Warszawie!”

— Jakto niema co począć? — oburzyłem się. — A widziałeś Kamińskiego w „Dyable”?

— Widziałem.

— A Morozowicza w „Orfeuszu”?

— Widziałem.

— A sceny zbiorowe robotnicze w „Tunelu” i przewijającą się wśród nich, jak kwiatek po łące, prześliczną panią Jarszewską?

— Rozumie się!

— A „niebieskie myszki” i „figlarne kotki” w Nowym?

— Oglądałem, a jakże!

— No i czegoż ci jeszcze do szczęścia potrzeba?

Kolega Ignacy spuścił oczy, jak dziewczina odzywająca się po raz pierwszy o podróży poślubnej, i rzekł:

— Muzyki!

— Opery?

— Tak...—wyszeptał, jak złapany na gorącym uczynku.

Zachęcałem go do spędzenia wieczorów w Dolinie Szwajcarskiej. Był już tam. Nie podołało się.

— Ani słowa—tłumaczył — orkiestra Filharmonii, aczkolwiek letnia, niepełna, spisuje się doskonale — ale słyszał kto wykonywać symfoniczne utwory, suite'y Griega i t. p. — pod

otwartem niebem! Połowę rozwiewa wiatr, połowę zabrzękują szklanki i talerze, a resztę—sam przegawędziłem z damami! W dodatku—nie znoszę fajerwerków... na blizką metę.

— Kochany Ignacy — rzekłem po chwili namysłu—widzę, że szukasz tylko wybiegu, aby co rychlej popędzić tam na wieś nadniemeńską, pławiącą się jeszcze we wszystkich czarach i urokach przyrody. Jedź więc! I niech cię szarugi jesienne jak najprędzej znów do Warszawy stamtąd wygonią. Pamiętaj, że sezon operowy zaczyna się w pierwszych dniach października. Staw się! Zamówię dla ciebie na „Meistersinger”ów krzesło w pierwszym rzędzie, gdyż tak dystygowanej i okazałej, jak twoja, postaci nie rzecz ukrywać gdzieś w głębi parteru.

Kolega Ignacy okazał wrażliwość na pochwałę jego wyglądu, znacznie jednak większą ciekawość: co też zbliżający się sezon operowy zapowiada?

— Czytałem—dorzucił—w gazetach, że podobno Dyrekcyja teatrów rozwiązuje kontrakt z Rajchmanem, co? Dlaczego? No proszę! To może wszelkie zapowiedzi w tęb wezmą?

— Uspokój się—rzekłem—Rajchman ma zawarty z Dyrekcyją urzędowy kontrakt pięcioletni i jeżeli—za zgodą stron obu—zajdą w nim jakieś zmiany, to nic a nic nie wpłyną na program sezonowy — najbliższy. W tej chwili umowa faktycznie rozwiązana, dzięki interwencji p. generał-gubernatora, ale rokowania o kontrakt nowy toczą się żywo między dyrekcyją a p. Rajchmanem. Co za rok będzie?... a, to rzecz inna. Zobaczymy. Tymczasem zaś gotuj się wysłuchać: „Śpiewaków Norymberskich” Wagnera, „Thais” Massenet’a, „Madame Butterfly” Pucciniego, „Beniowskiego” Dopplera i „Zemstę za mur graniczny” Noskowskiego. Tyle co do nowości; zaś, o ile wiem, repertuar sezonowy obejmie cały szereg „odświeżonych” oper, jak: „Manru” Paderewskiego, „Hrabinę”, „Ernaniego”, „Eugeniusza Oniegina”, „Martę”, „Normę”, prawdopodobnie „Tannhäusera”. Mało ci jeszcze?

— Wystarczy. Tylko w dziennikach swoich zapowiadajcie z góry co kiedy ma iść, abyśmy trafić mogli do Warszawy na jakieś *clou*. Uważasz!

— Uważam. A lubisz Gemmę Bellincioni?

Kolega Ignacy wznosił oczy ku niebu, jakby świadectwa stamtąd wzywał.

— A Maryę Gay, a Battistiniego, a paryską Aektę, a rzymską Melis, niezrównaną „Thais”, a Tittę, a Myszugę, a Dygasa, a Metaxiana, a Ruffę? Wszyscy oni bądź gościnnie, bądź stale śpiewać będą. I wielu innych jeszcze... Gębarzewska, Oleska ze Lwowa, Carniola, uczennica Reszkego, Mokrzycka, Massoczy, Guardabassi z Monte Carlo, Łowczyński...

Ale Ignacy począł błagać, abym przestał.

— Nie godzi się, nie godzi—wołał—takich przyrętnę igrac pokusami! Niech się potknę sześć razy na jednym miejscu, jeżeli mi nie potrzeba gwałtownie siedzieć na wsi kamieniem... A tu tymczasem!... No,—jakoś to się ułoży. Przyjadę! niema co, przyjadę!

Na pożegnanie, nie mogłem powstrzymać się i powiedziałem mu dwa jeszcze tylko słowa:

— Kochańska!... Paderewski!...

— Co? I ci też?

— Też. Ona będzie zimą śpiewała w operze; on będzie grał w Filharmonii.

— Dobiłeś mię—rzekł Ignacy — ale rozkosznym

poiskiem. Patrz tylko teraz, aby mię jaki zawód—nie wskrzesił! Trzymam cię za słowo i to jeszcze drukowane.

— Mocne to bardzo słowo—odpowiedziałem, nadrabiając pewnością siebie. Właśnie o tym czasie dyrekcyja opery i publiczność spisują cyrografy po wszystkich gazetach, co prawda nie krwią serdeczną lecz masą drukarską, cyrografy—obowiązujące! Dyrekcyja opery podaje do wiadomości ogółu, że obiecuje to a to w zbliżającym się sezonie—*dać*; publiczność, zagrzana przez organa prasy, postanawia wykupywać abonamenty i bilety.

— A jeżeli przypadkiem spotkają się nie w Rzymie, lecz w karczmie w Babinie?

— Mój drogi,—odrzekłem—wypuń z ust te koncepty z reminiscencyami o ś. p. Twardowskim. Mogę ci ręczyć, że z żadnego tu wieczoru teatralnego nie będziesz potrzebował... ratować duszy lub czmychać kominem, a choćby tylko przez kontramarknię. Opera warszawska ustaliła już minionym sezonem dobrą renomę swoją. *Le passé oblige*. Zresztą... co was, publiczność obchodzić mogą i powinny wszelkie intrygi i komeraże zakulisowe! Wy, mimo przechodząc, zatrzymujecie się przed afiszem; odczytujecie go; zachęceni dobrą lub ciekawą sztuką, idziecie do teatru i—jeżeli dano wam szlachetne wrażenia, jesteście zadowoleni, nie pytając *кто* was niemi uraczył. Słuszne to i sprawiedliwe. Podobnie, jeżeliby niewiedzieć jak czcigodny luminarz naraził was w teatrze na oglądanie tandety lub słuchanie kakofonii, nie pytając nawet, kto to sprawił, macie święte prawo wyrzekać i od teatru stronić. Wy, publiczność, macie zawsze *le beau role*. I—niech was to w dumę nieprzystojną nie wbija—rozstrzygniecie o losach i poziomie polskiego teatru, polskiego piśmiennictwa, polskiej sztuki wogóle...

Kolega Ignacy uczynił gest ręką, jakby wstrzymując potok mej wymowy.

— Pozwól—nie dałem mu przerwać—niech dokończę! Prawda niezbita w aksjomacie: jaka publiczność, taka literatura; jaka publiczność, taki poziom artystyczny danego środowiska; jaka publiczność, takie czasopisma, teatry, kierunki polityczne, a nawc... kabarety. Nie lećcie na... „byle co”, a z pewnością nie znajdzie się spekulant, krzewiący i pielęgnujący „byle co”—dla was! Podobnie z teatrem i z operą. Publiczność ma znakomity sposób *narzucenia* teatrowi chęci i upodobań swoich. Nie potrzebuję go wymieniać. Zażądajcie tylko *dobrego* teatru, *dobrej* opery! Zażądajcie, rozumie się, nie na słowach tylko, ale *umożliwiając* przez materialne poparcie istnienie takich wzorowych instytucji!

Takie dałem na drogę pożegnanie koledze Ignacemu.

O niego zresztą jestem spokojny. Razy kilka do roku bawi (proszę nie czytać: bawi się) w Warszawie, a zawsze najsumienniejsz wszelkie kulturalne sprawy nasze popiera i z Warszawy nie jedzie dalej—za granicę. Wraca do domu.

I byłbym go chętnie za wzór stawiał wszystkim gościom naszym wiejskim z Litwy, Białejrusi, Ukrainy, Podola i t. d., gdybym nie miał przeświadczenia, że sezon nasz przyszły teatralno-operowo-muzyczny, zapowiadający się świetnie, sam „atrakcją” będzie nielada dla inteligencji polskiej.

Ot, dziś już Alejami Ujazdowskimi przeszedł zachód słońca takim już, nieuchwytnym w słowa, jesiennym nastrojem... Maluczko, a ożywią się znowu kamienie partery i pierwsze piętra; zmierzch podplynie niepostrzeżenie pod godzinę obiadową i połączy ją wietrzną, wilgotną szarugą uliczną z wieczorem teatralnym.

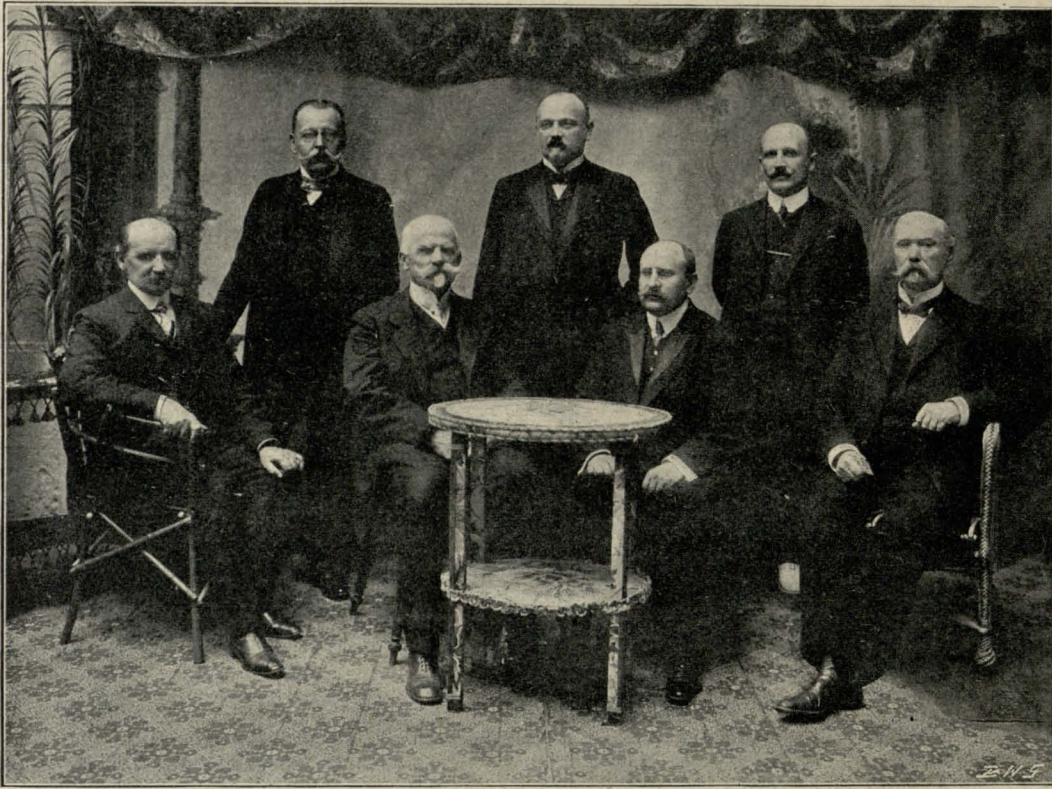
O! ta sala pełna świateł, tualet, profilów niewieścich, szelestów ożywionych rozmów... Z jakim smakiem przybywa się do niej z pluchoty na dworze i monotonii domowej.

A ognisty, bystrosłuch de Vigna już u pulpitu w orkiestrze. Suche dwa lekkie uderzenia laseczką batuty... Światła gasną... Kurtyna drgnęła...

Co zaś odsłaniać nam będzie kolejno, wszystkiemu będziemy dawali wierne odbicie tu, na tem miejscu, aby bez śladu i wspomnienia nie przemijały: obrazy i melode, pomysły — i wrażenia.

CZESŁAW JANKOWSKI.





E Domański, członek zarządu, T. Piotrowski, skarbnik, Dr. J. Modrzewski, sekretarz wystawy.
Dr. W. Tołwiński, v. prezes wyst., Leon Przanowski, prezes wystawy, K. Zaremba, v. prezes wystawy, G. Wierciński, gospodarz wyst.
Grupa członków Komitetu Wystawy higienicznej w Lublinie. Fot. „Zofia“.

Szczątki balonu hr. Zeppelina.

Radość i uniesienie Niemców z powodu podboju atmosfery dzięki pomysłowości jednego z rodaków, hr. Zeppelina, ustąpiły niebawem miejsca głębokiej żałobie i rozgoryczeniu, gdy lotem błyskawicy rozeszła się po kraju hiobowa wieść o nieszczęśliwej katastrofie potężnego balonu.

Niby bajeczny Lewiatan, wzbił się w po-

z potężnego balonu pozostały jedynie pokręcone w ogniu szczątki aluminium, przypominające jak gdyby szkielet olbrzymiego trupa-potwora. Rycina nasza ilustruje właśnie ten moment, gdy ostatecznie zblakły już wszelkie pokładane w nowym wynalazku niemieckie nadzieje.

NASZE RYCINY.

St. Chlebowski: „Sultan Abdul-Azis“ (portret na koniu) i tenże sultan „podczas

tynopola, gdzie prace jego zyskały także uznanie, że Abdul-Azis mianował go malarzem nadwornym i zaprosił na stały pobyt do swego wspaniałego pałacu, Dolma Bagcze. Za prace, wykonane dla sułtana (wśród nich te właśnie, które zamieściliśmy w numerze niniejszym) otrzymał order Medżije III klasy. Porzuciwszy następnie Turcję, wrócił do Paryża, gdzie doznał licznych zaszczytów, wśród nich kilka orderów: austriacki, włoski, belgijski i meklembursko-szweryński. Umarł r. 1884. Do najlepszych prac Chlebowskiego zaliczają: „Bitwę pod Warną“, „Odsiecz Wiednia“, „Joannę d'Arc“ i wiele innych. — K. Meissonier: „Śpiewacy wędrowni“. Swoboda, lekkość, wykwiłt układu przy drobniogłowym wykonaniu—oto zalety wielkiego artysty, który łączył olbrzymią wiedzę artystyczną i historyczną z talentem, co intuicyjną swoją sięgał w głąb duszy ludzkiej. — L. Kowalski: „Na łonie natury“. Jest to obraz, przedstawiający grę „w ślepią babkę“, a zrobiony z dużym wyrobieniem technicznym.

KRONIKA.

Zmarli.

Feliks Burzyński, były współwydawca *Kuryera Porannego*. Po powrocie z Syberji, dokąd zagnała go zawierucha poli-

tyczna r. 1863, rozpoczął swą działalność zawodową w Warszawie od r. 1871, jako administrator *Kuryera Warszawskiego*, i jednocześnie nabył drukarnię, z której przez długi czas wychodziły w świat tanie popularne wydawnictwa. Od r. 1877 ś. p. Feliks Burzyński wszedł do spółki ze ś. p. Feliksem Fryze i obaj, pierwszy jako administrator, drugi jako redaktor, prowadzili stworzony przez siebie *Kuryer Poranny*. W dziejach *Kuryera Porannego*, zawartych w „Księdze jubileuszowej“, wydanej



FELIKS BURZYŃSKI.

w roku 1902 z powodu 25-lecia pisma, tak ś. p. redaktor charakteryzuje pomiędzy innymi swego współnika: „Upatrzyłem go sobie, gdyż słygał z uczciwości a był cichy i łagodny wyjątkowo“. Istotnie słowa te doskonale odbijają w sobie zalety duszy i serca zmarłego, który przez długie swe życie nie był powodem żadnej krzywdy ludzkiej. Na stare lata ś. p. Feliksa Burzyńskiego spotkało nieszczęście, gdyż stracił wzrok i zmuszony był usunąć się od ulubionych swych zajęć.



Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wniesienie opłaty na drugie półrocze r. b.



Szkielet balonu Zeppelina po katastrofie w d. 5 sierpnia.

wietrze z nad jeziora Bodeńskiego i z szybkością 50 wiorst na godzinę unosił się wzdłuż Renu, jak nowy władca nieopanowanych jeszcze obszarów, witany wszędzie rozgłośnym grzmiotem niebosiężnych wiatów przypatrującej się tłumnie ludności. Dzwony katedry strassburskiej wygrywały szaloną fanfarę, a forty nadreńskie ogłuszały hukem porostawianych dział. Hr. Zeppelin, z góry spoglądając na zapał i poruszenie ogólne, czuł się wynagrodzonym sownice za wszystkie niepowodzenia poprzednie, poniesione trudy, straty i koszta, bo oto tryumf zupełny miał za chwilę całkowicie uwiecznić tytaniczną jego pracę. Maleńka jednak iskra elektryczna zniweczyła wszystko... W kilka minut

rewii kozaków otomańskich“. Dwa powyższe obrazy zgąstego przedwcześnie malarza świadczą dobitnie o jego mocnym, dojrzałym talencie. W portrecie konnym uderza szerokość i pewność ujęcia przedmiotu. Bez mozolnego przekonania przeniesiono tu farbę na barwę i kształt—ani śladu „roboty“. Przytem spojrzymy, jak pięknym jest ten koń, jak świetnie siedzi na nim jeździec. Na drugim obrazie, przy równie doskonałej kompozycji, uderza znakomita sylweta głównej postaci i rozmieszczenie drugoplanowych, przy bez zarzutu utrzymanej perspektywie. Wszystko tu żyje, choć jest w spokojnej kontemplacji tego, co się dzieje za obrazem. Tu przypomnimy, że St. Chlebowski, urodzony r.



Obrazek osnuty na tle stosunków czesko-niemieckich. Tablice z napisem: „Deutsche kauft nur bei Deutschen“ na stacji Liberec (Reichenberg) w Czechach. Władza dozwalała umieszczać Niemcom takie napisy, Czechom zaś zabrania w niektórych miejscowościach nawet napisów czeskich na szyldach.

Weterani z r. 1863.

„Poszło nas z Mińska 3-ch kleryków; jeden, Werpuchowski Julian, z głodu umarł we wsi buryackiej, drugi—Herbatowski Józef, poszedł na parobka do chłopów, ja zaś, Kawecki, po długiej katordze, nauczyłem się sztuki mularskiej, i tą niewdzięczną i ciężką pracą zdobywałem skąpe środki do życia, nim starość nie osłabiła mych rąk. Znow szara śmierć zaczęła zaglądać mi w oczy“.

To proste, ale wzruszające opowiadanie tyle razy, czytelniku, możesz usłyszeć, gdy zaczniesz rozmowę z weteranami 63 go roku, a czy nie jest ono surowym wyrzutem dla naszej obojętności?

Nie dla sentymentalizmu, nie dla popisowania się podjęliśmy akcję koniecznego ratunku tych rozbitków, ale widząc ich położenie bez nadziei, bez pomocy, bez ratunku.

Od tej chwili, gdy po raz pierwszy odezwałem się do naszego społeczeństwa, przepłynęło przez moje ręce blisko 600 rubli dla starców. Udało mi się już 7-miu starszków odesłać do kraju i zapewnić im cichy i spokojny zakątek aż do śmierci, wśród życzliwych rodaków. W tych dniach zaś wyrusza 3-cia partya, składająca się z 4-ch starców, a na ich miejsce już ściągają z dalekiej Jakutki nowi kandydaci.

Ziomkowie! Bóg zapłać za to, coście uczynili: tyle łez ukoiliście, tyle rozpaczy złagodzili, takiego szczęścia byliście przyczyną... ale nie wstrzymujcie się w waszych czynach, nie skąpcie waszych ofiar, bo dopiero się zaczęła ta święta praca, a tylu starców jeszcze na gościnność czeka. Ofiarujcie jeszcze swe gościnne strzechy, przy-

syłajcie swe grosze wdowie, bo potrzeba bardzo wielka, i ciągle rośnie i rośnie, jak rzeka wezbrana.

D. 19 lipca wyjeżdżają do kraju: Konstanty Kawecki—do p. Czesława Romanowskiego w Łońsku, gub. Mińsk.; Mateusz Szymański—do pani Slatwińskiej w gub. Mińskiej; Tomasz Śledź—do p. Argolda w Kaliskiej gub.; Jan Kazelunas—do pana Rudolfa Niesławinińskiego w Sejnach, Kowieńskiej gub. Ostatni dwaj: Śledź i Kazelunas, oczekują na prawa.

Rachunki przedstawiają się w następujący sposób:

Pozostało z przeszłej partii 82 rb. 40 k. Otrzymało od p. barona Rizenkampa 50 rb., p. Sokołowski z Nikolska-Usuryjskiego—5 rb., p. Minczewski ze Szczucina Wiel—12 rb. 50 k. Zebrała p. Nagórka 69 rb. 65 k. (a mianowicie: pp. K. Wierzbicy 5 rb., E. Madcz 3 rb., J. Kreczunowicz 3 rb., K. Karłowski 1 rb., M. Zakrzewska 1 rb. 50 k., Z. Michalska 3 rb., C. Miniewska 3 rb., M. Żeliszawska 1 rb., K. Zandowicz 1 rb. J. Pająk 1 rb., M. Gątkiewiczowa 2 rb., K. Murzynowski 4 rb. 20 kop., Krzyżanowski 3 rb., Z. Gościńcy 3 rb., M. Kołodziejki 3 rb. 85 k., S. Karłowski 1 rb. 50 k., M. Kaciński 1 rb., Hirszel 1 rb., B. Gitwerowa 70 k., W. Nowacki 1 rb., R. Zamle 50 k., Z. Józefowicz 1 rb., Gliwicz 1 rb., Suchorski 3 rb., Suchorska 1 rb., ks. Pełczyński 1 rb., Żeliszawski 50 k., Rudzicki 1 rb., Z. Prelusz 1 rb. 50 k., F. Radoński 5 rb., St. Prądzynski 3 rb., J. Kaszboska 1 rb., A. Górecka 40 kop., M. Kasperczak 1 rb., J. Fiszer 1 rb., T. Fiszerowa 1 rb., B. S. Chelchowsky 2 rb., H. Krzczkowski 50 kop.), p. Buchowiecki z Olkusza 13 rb. 50 kop., p.

A. Koiszewski z Kobrynia 15 rb., p. N. N. 30 rb. Zebrała p. Nagorska (Błaski) 67 rb. 15 k. (A mianowicie: Br. Bukowiński 5 rb., Waganowski 25 rb., ks. Kruczkowski 1 rb., Budziszewska 1 rb., NN. 1 rb., Z. Grabowski 1 rb., St. W. 50 kop., M. Zaremba 20 k., J. Gudel 70 kop., A. Wojciechowski 1 rb., F. Kijewska 50 k., J. Zaremba 15 k., A. Kwaśniewski 30 k., B. Złowiecka 1 rb., St. Bruda 50 k., Wągrowski 1 rb., Piątkiewicz 50 k., Wesołowska 20 k., A. Zielińska 1 rb., Kapuściński 10 k., Piątkiewicz 20 k., Stamirowski 1 rb., Juścińska 50 k., Wieszka 20 k., M. Janczewska 1 rb., M. Wągrowski 50 k., J. Pstrokoćńska 1 rb., M. Lisowska 50 k., J. Zaremba 30 k., Wijakowska 1 rb., Kozłowski 50 k., W. Szczepańska 50 k., Ziółkowska 50 k., Jackowski 1 rb., Olszewski 50 k., A. Arnold 2 rb., B. Arnold 2 rb. 50 k., Ar. J. 2 rb. 50 k., W. Tarasiewicz 1 rb., A. Sulikowska 20 k., E. Pawczyński 1 rb., Potocka 50 k., S. Małtecki 1 rb., Mieszczeński 50 k., Żychlewicz 1 rb., Dymitrowicz 1 rb., Konarzewski 1 rb.), p. A. Szpakowski z Szuja Wład. gub. 100 rb., An. Brzezicka z Nowej Uszy-cy 4 rb. Razem 366 rb. 80 kop.

Wydano z tych pieniędzy: Wynajęcie mieszkania dla starców na pół roku 100 rb. Posłano dwom starcom na drogę z Jakutki do Irkucka 50 rb. Utrzymanie 4 starców od 25 maja do 25 lipca 40 rb. Wydano na drogę wdowie po powstańcu 5 rb. Wysłano Kaweckiego i Szymanowskiego do kraju: bilety 58 rb., na życie w drodze 22 rb. Kupiono produktów za 3 rb. Wydano na ubranie dla wyjeżdżających 10 rb. Zapłacono szpital za Cytomcia 3 rb. Pozostaje na wyprawienie Śledzia i Kazelunasa

i na czwartą partyę (459 rb. 20 k.—291) 158 rb. 20 kop.

Ks. JOZAFAT FRYDERYK ZYSKAR proboszcz irkucki

Irkuck, 12-go lipca, 1908 roku.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem

otrzymał ogłoszenie Cesarskiego St.-Petersburskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych o dorocznym wszechrosyjskim konkursie na dzieła sztuki z nadesłaniem na termin 25 stycznia 1909 r.

Trzynastcie nagród pieniężnych przeznaczone są, mianowicie:

- 1) Jubileuszowa rb. 2000—za najlepsze dzieło sztuki dowolnej treści.
- 2) rb. 125 i 75—za grawiurę lub akwafortę z obrazu albo z własnej pracy.
- 3) rb. 600 i 400—za obraz treści historycznej.
- 4) rb. 500—za obraz treści rodzajowej.
- 5) rb. 500—za pejzaż.
- 6) rb. 150 i 50—za malowidła na porcelanie i fajansie.
- 7) rb. 150 i 70—za rzeźbę z drzewa treści dowolnej.
- 8) rb. 100 i 50—za rzeźbę w odlewie treści dowolnej.

Ogłoszenie to w szczegółach może być przejrane w kancelaryi Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.



N A D E S Ł A N E.

**SZCZOTKI DO WŁOSÓW, SUKIEN,
SZCZOTECZKI DO ZĘBÓW I PAZNOKCI,
GRZEBIENIE DO CZESANIA** rogowe, kauczukowe, z kości słoniowej i szyldkretowe

POLECA

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOLE,
ORGANY,
MELODYKONY

GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kucharki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3069.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprędaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Lecznica D-ra Tarnawskiego w Kosowie (St. kolei Zabłotów) w Galicyi w połud.-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja do końca października. Leczenie wodą, dyetą (także jarska i owocowa), kąpielami słonecz., gimnastyką i przysposabianie do życia higienicznego.

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYNSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYNSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa nutowe w tomach

„UNIWERSAL-EDITION”

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

ODPOWIEDZI.

Wieloletni prenumeratorem. Aby odpowiedzieć na wszystkie pytania, należało zaopieć cały numer Tygodnika. Po ważniejsze informacje radzimy zwrócić się do

Polskiego Przeglądu Emigracyjnego we Lwowie.

Medyków. Najlepiej jechać do Krakowa, gdzie wydział medyczny stoi na wysokości.

Henryk J. Nie wydrukujemy.

BOGUSŁAW HERSE

WARSZAWA-Marszałkowska 150

Telefon N 82-30

, , N 15-30



Dywany Firanki, Story

Bezpłatna wysyłka dużego, bogato ilustrowanego katalogu FIRANEK, STOR, ROLET, KAP, KOLDER.

Bezpłatna wysyłka rysunków i fotografii DYWANÓW z cenami i kosztorysami.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów: eliksir, pasta i proszek

„TYMENTOL“

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej. Poleca Centralne Laboratorium Chemiczne w Warszawie.

Sprzedaż w składach aptecznych.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcyjna

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.

Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

NAJLEPSZA KAWA
SKONCENTROWANA



EXTRAIT de MOCCA

Eugeniusz Widigier i S-ka

WARSZAWA,

Al. Jerozolimska 25, tel. 35-33.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.

Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11
rano. Porada 50 kop.

LUDWIK SZUFA

KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

J. MIECZKOWSKI, Fotografia

Marszałkowska III. Telefon 16.81

JÓZEF FRAGET

FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają BRONZY Magazyn Krakowskie Przedmieście № 15 dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa